NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKOW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.
Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok II. Kraków, 25 listopada 1905 r. Nr. 48.

Rewolucya w Kronsztadzie.

(Do artykułu na stronie 2).



Numer ten zawiera 24 stronic druku.

Rewolucya w Kronsztadzie.

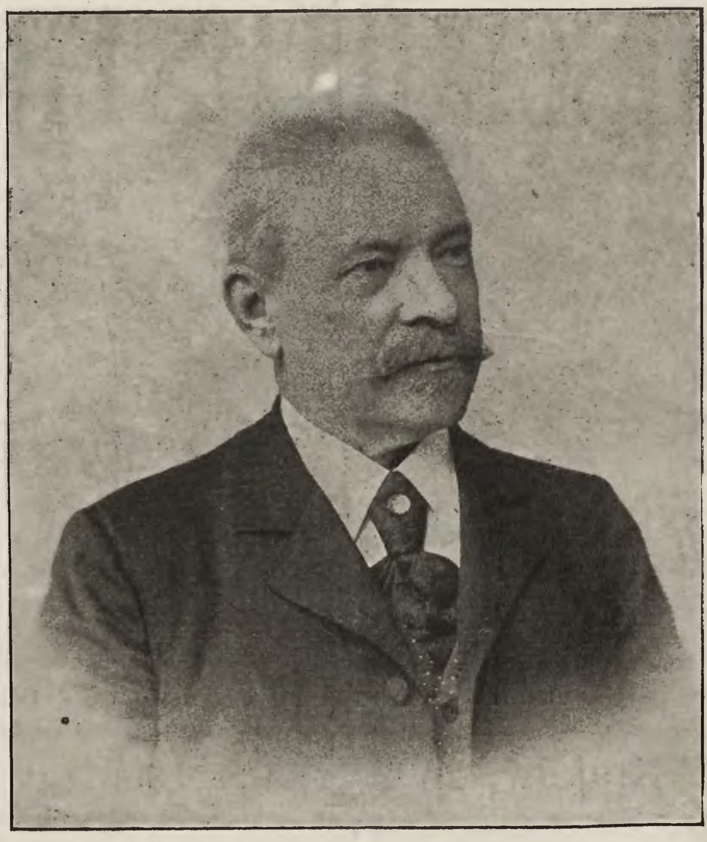
(Do illustracyi tytułowej).

Rewolucya rosyjska dawnoby już wywalczyła konstytucyę i dawnoby już była się skończyła, gdyby się do niej była przyłączyła armia. Rząd wiedział o tem doskonale, to też wszelkiemi siłami starał się zapobiedz niebezpieczeństwu, a dopomagała mu w tem okoliczność, że armia składała się z ludzi po większej części ciemnych, nie zdających sobie sprawy z walki ludu o wolność, gotowych strzelać i mordować własnych braci, którzy podnieśli rękę na cara. Agitacya rewolucyjna w armii zataczała coraz szersze okręgi, nie objęła jednakże całej masy wojsk. Tu i ówdzie zdarzały się wprawdzie wypadki niesubordynacyi, że żołnierze nie chcieli strzelać do bezbronnych tłumów, ale to były wypadki rzadkie. Najbardziej jeszcze podatny grunt dla sieci rewolucyjnej stanowili marynarze, ale i oni nie byli tak zorganizowani, ażeby powstać naraz i przez to podciąć caratowi nogi. Przykładem braku organizacyi wśród marynarzy była historya z „Potemkinem".

W ubiegłym tygodniu zelektryzowała cały świat wiadomość, że w Kronsztacie, najbardziej warownej twierdzy rosyjskiej, stanowiącej jakoby bramę do Petersburga od strony morza, wybuchła rewolucya wojskowa.

Bezpośrednią przyczyną rewolucyi było zarządzenie Trepowa, aby dwunastu marynarzy, aresztowanych podczas rozruchów w Petersburgu, odesłać do Kronsztadu, gdzie mieli być surowo ukarani. Tymczasem aresztowani podburzyli załogę statku który ich przewoził do Kronsztadu, aresztowali oficerów i wpłynęli do portu kronsztadzkiego pod czerwoną flagą. Wysłany naprzeciw nim okręt przyłączył się do rewolucyonistów. Baterye nadbrzeżne otrzymały rozkaz skierowania ognia na buntowników, ale żołnierze zamiast strzelać, posiadali na armatach, nucąc pieśni rewolucyjne. Marynarze wkroczyli potem do miasta, zdobyli trzy działa maszynowe i skierowali je natychmiast na dom komendanta floty, który został doszczętnie zniszczony. Walki na ulicach trwały dzień i noc, marynarze bowiem stawiali dzielny opór armii lądowej, gdyż byli doskonale uzbrojeni. Jednak mimo to marynarze w końcu uledz musieli. Trepow nadesłał do Kronsztadu tyle wojska, że walka była już prawie nie możliwą. W potokach krwi udało się ten bunt wojskowy zgnieść, więzienia zapełniły się znowu marynarzami, których sąd wojenny po kilku dniach skazał na śmierć. A skazanych było blizko 200 osób.

Na dziedzińcu wojskowego więzienia w Kronsztadzie odbywały się w ostatnich dniach masowe egzekucye. Co chwila słychać tam było trzask kurków i głuchy odgłos strzałów, obijających się o mury więzienne. To umierali ci, którzy nie chcieli dłużej znosić tyranii i stanęli w jednym szeregu z rewolucyonistami, a ginęli od kul własnych współbraci, nie rozumiejących ich idei, nie zdających sobie sprawy z tego, że mordują tych, którzy dla nich o wolność walczyli.



Fot. J. Sebald. Kraków.
Jubileusz pedagoga: Roman Vimpeller, dyrektor c. k. seminaryum nauczycielskiego żeńskiego w Krakowie.

Zamieszczona na tytułowej stronie dzisiejszego numeru ilustracya, przedstawia rozstrzelanie marynarzy, skazanych na śmierć za udział w ruchu rewolucyjnym.

Jubileusz pedagoga.

Wychowanie młodzieży jest bezsprzecznie rzeczą największej wagi dla społeczeństwa. Od wychowania bowiem młodzieży zależy przyszły los narodu. Tembardziej godną uznania jest praca nad wychowaniem przyszłych wychowawców młodzieży, praca w seminaryach nauczycielskich, kształcenie przyszłych nauczycieli i nauczycielek. Nauczyciele bowiem mają w młode pokolenie nieść światło wiedzy, mają ich hartować do przyszłego życia, do walk i trudów, wskazywać im proste ścieżki i przygotować do tego, aby stali się ludźmi, którzy życiem swojem przysłużą się ludzkości i ojczyźnie. Praca to wielka, a za nią nagrodą jest uznanie społeczeństwa, które ocenia i rozumie pracę nauczycieli.

W ubiegłym tygodniu obchodził w Krakowie dyrektor seminaryum nauczycielskiego żeńskiego, radca szkolny p. Roman Vimpeller 25 rocznicę pełnienia obowiązków dyrektorskich najpierw w seminaryum rzeszowskiem, a następnie krakowskiem. W jubileuszu wzięły udział władze szkolne, reprezentowane przez inspektora krajowego radcę Mieczysława Zaleskiego, dawniejsi i obecni profesorowie seminaryum, oraz dawne uczennice, wychowanki zakładu, zajmujące posady nauczycielskie w Krakowie i na prowincyi, oraz uczennice obecne.

Uroczystość jubileuszowa rozpoczęła się nabożeństwem, po którem odbył się uroczysty poranek. P. radca Zaleski wymownemi słowy podnosił zasługi dyrektora Vimpellera na polu szkolnictwa i wykształcenia dzielnych i pożytecznych dla kraju nauczycielek. Potem nastąpiły produkcye muzyczne i dalsze przemówienia, za które wzruszony jubilat serdecznie dziękował. Wieczorem odbyło się u ks. proboszcza dra Kulinowskiego, byłego katechety seminaryjnego, koleżeńskie zebranie naczcześć zasłużonego jubilata.

Uroczystość jubileuszowa wywarła na wszystkich bardzo podniosłe wrażenie, gdyż była ona oznaką uznania i wdzięczności za pracę dla dobra ogółu, na co sobie p. Vimpeller w zupełności zasłużył.

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok fotografię dyrektora Vimpellera.



Technicy w Tarnopolu: Członkowie Tow. technicznego w Tarnopolu, zgromadzeni przy młynie nowego systemu w Strusowie.

Technicy w Tarnopolu.

Towarzystwo techników w Tarnopolu, które przez dłuższy czas nie dawało o sobie znaku życia, w bieżącym roku zaczęło się budzić i coraz częściej dawało wyraz swej żywotności. W głównej mierze jest to zasługa obecnego prezesa towarzystwa, nadinżyniera p. Wojciechowskiego, który usilną pracą i energią zdołał w krótkim stosunkowo czasie towarzystwo techników podnieść i jak to mówią — postawić na nogi. Jego to staraniem towarzystwo urządziło w tym roku kilka gremialnych wycieczek do pobliskich miejscowości, w których znajdują się rzeczy godne widzenia, zwłaszcza dla techników. Naprzód więc urządzono wycieczkę do Trembowli, gdzie oprócz zabytków oglądano szczegółowo most, oraz prześliczny, w czystym stylu romańskim wybudowany kościół.

Ostatnia wycieczka odbyła się w ubiegłym tygodniu. Technicy udali się gremialnie do Strusowa, by tam zwiedzić nowowybudowany młyn hrabiego Józefa Gołuchowskiego, brata ministra hr. Agenora. A młyn ten rzeczywiście wart jest zwiedze-

nia. Jest to olbrzymi gmach czteropiętrowy, wybudowany cały z czerwonego kamienia trembowelskiego, urządzony zaś według najnowszego systemu. Wszystkie maszyny są ostatnim wyrazem postępu techniki dzisiejszej. Przedsiębiorca budowy, budowniczy Wilhelm Schechter z Tarnopola, podejmował gości bardzo hojnie, a potem oprowadzał ich po młynie, udzielając wszelkich wskazówek i wyjaśnień. Technicy wyrażali się o całej budowie z największem uznaniem, a szczególnie o śluzach, zbudowanych przez p. Schechtera w nader trudnych warunkach, gdyż przy budowie musiano zwalczać ogromny przypływ wody, a nawet zamykać źródła.

Młyn ten jest jedynym w Galicyi, zbudowanym według najnowszego systemu. Pod względem wykonania, doboru i jakości materyału, nietylko dorównywa podbnym zakładom zagranicznym, ale je może nawet przewyższa.

W uzupełnieniu artykułu zamieszczamy w dzisiejszym numerze fotografię, przedstawiającą grupę techników tarnopolskich, zebranych obok młyna w Strusowie.

Represya w Warszawie po ogłoszeniu konstytucyi.

Obłuda rządu rosyjskiego z „postępowym“ nędznikiem Wittem na czele, okazała się w całej pełni po ogłoszeniu manifestu konstytucyjnego, jakby na dowód, że ten rząd nigdy z narodem nie postępował szczerze, ale że nawet ogłoszenie konstytucyi było pewnego rodzaju nowym szwindlem z jego strony, zmierzającym jeno do uspokojenia nazbyt wybujałych namiętności rewolucyjnych. Najjaskrawiej objawiła się ta obłuda rządu w Królestwie Polskiem, najbardziej kulturnej prowincyi rosyiskiej, a zwłaszcza w stolicy Królestwa, w Warszawie.

Ogłoszenie manifestu konstytucyjnego, zapowiadającego ludności swobodę, wolność słowa i zgromadzania się, przyjęto w Warszawie z zapałem, i entuzyazmem. Na ulicę wyległy tłumy ludu i przesuwały się w kilkusettysięcznych pochodach majestatycznie wśród śpiewu pieśni narodowych. Wzbiła się po raz pierwszy od lat kilkudziesięciu z tysiąca piersi ku niebu pieśń legionów, po raz pierwszy od tylu lat śpiewano publicznie „Boże, coś Polskę“. W oknach wystawiono obrazy i biusty bohaterów narodowych, na domach powiewały chorągwie o polskich barwach, cała ludność naraz



Następca Pobiedonoscewa: Książę Aleks. Oboleński nowomianowany oberprokurator św. Synodu.
(Treść na str. 20).

zapomniała o wszystkiem, o przebytych bólach i nieszczęściach, wszystkich serca biły gorącą miłością Ojczyzny, a miłość ta, przepełniająca ich dusze, objawiała się w sposób najprostszy, dający folgę uczuciu. Rzucano się sobie nawzajem w objęcia, ściskano się i całowano, powtarzając jedno słowo, mające w sobie magiczną jakąś siłę, słowo, o którem dawniej nie wolno było nawet myśleć: wolność. Zapomniano o różnicach partyjnych, dzielących ludność w czasie rewolucyi, zapomniano o przekonaniach, wszyscy naraz uczuli się wolnymi braćmi uczuli się Polakami. „Czerwony sztandar“ powiewał obok chorągwi z orłem polskim, wszelki antagonizm socyalistów i innych stronnictw znikł zupełnie, pozostało jedno tylko uczucie, które rozpierało pierś każdego: że jest Polakiem, że może to już śmiało mówić i uczucia swoje publicznie manifestować. Entuzyazm ten, dla każdego łatwy do zrozumienia, trwał jednak krótko. Rząd, który co dopiero ogłosił swobodę przekonań, wolność myśli i słowa, postanowił zgnieść to „polskie powstanie“.

I oto w parę godzin po ogłoszeniu manifestu konstytucyjnego, gdy cała Warszawa trzęsła się poprostu od radości, na ulicach pokazali się nagle kozacy i zaczęli rozpędzać tłumy. I znowu krew zbroczyła ulice, znowu ozwały się jęki mordowanych, kozacy znowu zaczęli hulać po swojemu, jakby o niczem nie wiedzieli, jakby manifest carski nie doszedł do ich wiadomości. I zaczęły się znowu na ulicach Warszawy bójki z kozakami, knut ukazał się znowu jako jedyny symbol carskiej władzy, aż nareszcie po kilku dniach zaprowadzono w Warszawie i całem Królestwie stan wojenny, a konstytucyę zniesiono.

W innych prowincyach, gdzie po nadaniu manifestu konstytucyjnego wybuchły barbarzyńskie rozruchy, mordowanie żydów, gdzie motłoch zbrodniarzy zorganizowany przez policyę, dopuszczał się niesłychanych ekscesów, urzędnik Witte nie zniósł konstytucyi. Zniósł ją zato w prowincyi najbardziej kulturnej, najbardziej przemysłowej, która jedyna w całej Rosyi zrozumiała i należycie oceniła manifest z 31 października. I tu się najlepiej okazała obłuda rządu, któremu nigdy nie można wierzyć, który jedną ręką odbiera to, co drugą daje.

* * *

W uzupełnieniu artykułu zamieszczamy obok ilustracyę, przedstawiającą chwilę, kiedy kozacy napadają na spokojnie demonstrujące tłumy i rozpędzają je po swojemu, rąbiąc i siekąc na wszystkie strony. A na kiosku, obok stojącym, widnieje jakby na urągowisko napis: „Konstytucya“!



Represya w Warszawie po ogłoszeniu konstytucyi: Kozacy rozpędzają ludność, demonstrującą z powodu ogłoszenia manifestu konstytucyjnego.

BOJOWNICY.

POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem

NAPISAŁ

JERZY SWOBODA.

26 (Ciąg dalszy).

— Nie wiem... może rok, może dłużej... i uprzedzam, że jestem bardzo wybredna i wymagająca. Nie ukrywam się z tem wcale... a mówiąc z panem, do niczego się nie zobowiązuję, nie daję żadnego przyrzeczenia — a widząc go chmurnym i złym — bo nie wiem, jaka dusza pana. Sądzę, że dobra i szlachetna, ale muszę o tem się przekonać.

— Czy to ostatnie słowo pani? — składał teczkę, jakgdyby się zabierał do odejścia.

To oburzyło Olgę. Czyż on myśli, że będę go prosiła? i pod pierwszem wrażeniem powiedziała porywczo:

— Ostatnie!

On milczał, ważąc w myśli, co zrobić? Naznacza mu długi termin, do niczego nie chce się zobowiązać. On będzie się wysługiwał, nadskakiwał, tracił czas, a w końcu odmówi może? Lecz z drugiej strony, ona jest bardzo ładna, bardzo poważna i podobała mu się nadzwyczajnie, wszyscy będą mu zazdrościli takiej żony pięknej, taktownej, mądrej i cnotliwej. Ojciec ma wysokie stanowisko, panna posiada 25.000 posagu; ciotka mu sprzyja... wszystko przemawia za tem, aby z nią się ożenił; zresztą stałość mężczyzny zawsze zniewala kobietę.

— Wie pani — zaczął zwolna — gdyby mi to powiedziała inna panna, najpiękniejsza i najmędrsza, ukłoniłbym się pięknie i powiedziałbym, że nie przywykłem być zabawką czyjąś. Ale ja pani duszę znam, chociaż pani nie chce przyznać, że już zna i moją, wiem, że pani szlachetna i prawdomowna, zgadzam się więc na warunek pani, zostaję... o jedno tylko błagam panią na klęczkach, niech ten czas próby nie będzie długi.

— Nie zobowiązuję się do żadnego terminu, panie rotmistrzu... i do rezultatu próby.

— Wiem, słyszałem... ale ja ufam w dobroć serca pani.

— Kto wie, czy mam dobre serce? Może mściwe i pamiętne urazy — sama nie wiem dokładnie.

— Pani wątpi w siebie, ale ja nie wątpię i powierzę z całą ufnością życie moje, honor, tajemnice wszystkie — a widząc, że patrzy na teczkę — chce pani, pokażę, jak się otwiera zamek — i położył rękę na teczce.

Odwróciła oczy, mówiąc:

— Nie, nie chcę, przecież pan dał słowo honoru, nie chcę widzieć.

— Pani jest świętą — rozczulał się, sądząc, że ona odmawia, dbając tak o jego honor — pani najszlachetniejsza!

— Bez tych wykrzykników — powiedziała oschle, gdyż zabolało ją to jego uznanie, tak niesprawiedliwe.

Weszła pani, prosząc na herbatę. Rotmistrz wstał, wziął teczkę ze sobą do jadalnego pokoju i położył na krześle obok siebie.

Olga spostrzegła, że niema sposobu zajrzenia do teczki, siedziała chmurna i małomówna. Natomiast rotmistrz był bardzo wesoły i rozmowny.

— Czy otrzymałaś, Olgo, broszury?

— Tak jest, ciociu... zapomniałam w salonie... pójdę schować, aby ktoś niepowołany nie dojrzał i nie przeczytał.

— O, z pani ostrożna kobieta! — zachwycał się rotmistrz, a po jej wyjściu dodał:

— Dziś prawie oświadczyłem się pannie Oldze, kazała mi czekać rok, może dłużej, ale liczę na przyjaźń pani — ucałował jej rękę — że pani skłoni ją, aby mnie tak nie zamęczała. Całe życie będę wdzięczny pani... żadna ofiara nie będzie mi trudną i ciężką dla pani, tylko wstaw się pani za mną.

— Nie mam prawa, nie mogę i nie chcę zmuszać Olgi... pan to rozumie, bo i co po przymuszonej żonie?... ale powiem jej, wytłómaczę...

— I myśli pani, że ona się zgodzi wyjść za mnie?... a może ona nie zechce?

— Cóż powiedziała panu?

— Że musi mnie poznać, wypróbować...

— To wierz pan mnie, kobiecie doświadczonej, że taki warunek jest dobrą zapowiedzią. Ona nie może zdać sobie jeszcze sprawy, czy kocha, czy nie? Czeka, bada, waha się... i jeśli nie zajdą nieprzewidziane okoliczności, odda panu swoją rękę.

— I jakie to mogą być okoliczności?

— Hm... może pan ją zrazić... nie podobać się w tem lub owem... może kto inny wejdzie w drogę...

— Prócz tego „innego", jestem spokojny o resztę... a czy ona mówi co o mnie?

— Owszem... chwali pana uprzejmość, delikatność.. przyznaje nawet, że pan miły i przystojny.

— Dziękuję pani — ucałował jej rękę — to mam tylko pani do zawdzięczenia. Nie zapomnę tego.

Przerwali rozmowę przy wejściu Olgi, zwrócili się do tematów bieżących i po pewnym czasie rotmistrz wyszedł.

— Czy oświadczył się tobie?

— Nie, ciociu... miał zamiar wynurzenia mi swej miłości i zachwytów, ale uprzedziłam go, że za mało się znamy.

— I czy długo myślisz zwlekać?

Olga spojrzała z pod oka podejrzliwie na ciotkę, wspominała jej pochwały dla niego i odpowiedziała:

— Istotnie mało go znam, ciociu... może to człowiek okrutny, lubiący się znęcać... tak dużo złego słyszałam o żandarmach.

— E, plotki... a podobał ci się?

— Tak sobie, niczego... ale od podobania do miłości bardzo daleko.

— To prawda... i po co masz się spieszyć do małżeństwa... on poczeka.

— Wszystko mi jedno, ciociu.

— Ale gdyby sobie poszedł, byłoby ci przykro?

— Nie wiem.

— To już dobrze — zaśmiała się wesoło — kto wie, czy w tym roku nie będę na twoim ślubie.

— W każdym razie nie w tym roku.

— Więc na przyszły rok?

— Nie wiem.

— Idę odwiedzić Tatianę, tam są karty dzisiaj... Może pójdziesz?

— Nie, zostanę w domu.

— Wolałabym i ja zostać z tobą, ale niestety muszę iść — westchnęła.

Olga zarumieniła się, wiedziała bowiem, że ciotka idzie bardzo chętnie, bo tam spotka się z rotmistrzem Lednoj.

Z powodu drwiących uwag Sudkiewicza i lekkich podejrzeń ciotki, Olga, idąc do Heleny na kilka godzin, zaprzestała zasłaniać się spotkaniem z koleżanką, natomiast wyszukała sobie inne przyczyny, które usprawiedliwiały jej nieobecność, a były tak prawdopodobne, że nie budziły podejrzeń, nawet u rotmistrza Bolcewa, zawiadamianego sumiennie o każdej nieobecności Olgi w domu.

Jednego dnia zdziwiła się bardzo, gdy do jej pokoju wszedł Jan, oznajmiając, iż posłaniec przyniósł list do niej, ale odda go tylko w jej ręce.

Wyszła do przedpokoju, a posłaniec zapytał:

— Czy to pani, panna Olga Wojtyrska?

— Ja nią jestem.

— To jest interes od pana Buczka, może to nie do pani?

— Znam go — zarumieniła się przy jego nazwisku — dajcie — i obdarzyła hojnie posłańca.

Lokaj z pewnem zdziwieniem przysłuchiwał się tej scenie i zanotował ją sobie w pamięci.

W swoim pokoju otworzyła szybko list i czytała:

„Dziś otrzymacie pierwszy transport o godzinie ósmej wieczorem. Jutro dajcie znać Komarowi. a o szóstej popołudniu czekam was Plac Aleksandra, przy kościele. Całuję wasze dobre rączki. B."

„List zniszczcie z kopertą".

Nareszcie przypomnieli sobie, że żyję i czekam, uśmiechnęła się zadowolona, rozpocznę działalność. I to jest pierwszy transport dopiero... ile też ich będzie?

Z niecierpliwością czekała ósmej godziny, drzwi swego pokoju przymknęła tylko, aby słyszeć każdy szelest i stukot na schodach. Nie chciała bowiem, aby Jan widział przesyłkę; instynktownie nie lubiła go za jego podsłuchiwanie i podpatrywanie każdego jej słowa, każdego ruchu.

Nareszcie posłyszała kroki Jana i otwieranie drzwi. Szybko weszła do przedpokoju. Jakiś służący sklepowy, położywszy w progu wielkie pudło, używane zazwyczaj na przesyłanie sukien damskich, dopytywał się o nią.

— To do mnie — zawołała Olga — proszę wnieść do mego pokoju.

— Ja wniosę... zawala mi posadzkę — odezwał się Jan, nachylając się do wzięcia.

— O, nie — odsunął rękę lokaja — sam przyniosłem, sam oddam.

Niezadowolony Jan spostrzegł, że pudło, jak na zawartość sukni, jest ciężkie, wymiarkował to z natężenia ręki.

— Czy pudło może zostać do jutra? — spytała Olga w swym pokoju.

— Módz, mogłoby... ale wolałbym dzisiaj — i widząc zakłopotaną minę Olgi, szepnął nachylając się — ja towarzysz.

Olga uśmiechnęła się i podała rękę, następnie cicho zasunęła drzwi i mówiła głośno:

— Niech mi pan pomoże wypakować suknię... a ostrożnie...

— Ja się z tem znam.

Na przygotowanej dolnej półce szafy bibliotecznej ułożyli szybko broszury, a gdy Olga otworzyła drzwi, zastała Jana. stojącego w przedpokoju.

— A Jan czego? — spytała nachmurzona.

— Czekałem, aby drzwi zamknąć za nim — wskazał na człowieka z pudłem.

Rano poszła do Komara, a że dzień majowy był jasny i pogodny, Komar odprowadził ją przez podwórze fabryczne do bramy wejściowej, ucząc ją na pamięć adresów, gdzie i w jakiej ilości ma oddać broszury nadesłane.

— Nikomu nie powierzajcie, cudzemi rękami dobrze kasztany wyciągać z ognia, ale własnemi pracować. Wyglądacie za strojnie — obejrzał ją — no i trochę za ładną jesteście, będą się oglądali za wami, a nie jedźcie tramwajami, często są szpiegi, lepiej dorożką, byle nie na miejsce przeznaczenia, bo mógłby ktoś zauważyć numer.

— Dobrze... usłucham waszej rady.

— Weźcie też od Buczka spis kamienic przechodnich, wolnym czasem zbadajcie każdą z nich, taka wiadomość nigdy nie zaszkodzi. Będziecie się widzieli dziś z Buczkiem?

— O szóstej wieczorem.

— Wspomnijcie mu na siódmą. I jeszcze jedno, nie róbcie piekła z oddawaniem... w domu mogą podejrzywać... dziś trochę... jutro... kiedy wam dogodnie.

— Rozumiem... a nie wiecie czego o panu Pawle?

— Ten teraz wysyła tylko — uśmiechnął się — wkrótce znów dostaniecie, przygotujcie miejsce.

— O, tego mi nie zabraknie.

— Bywajcie zdrowi... i nie pisujcie ani pamiętników, ani listów; do widzenia! — uścisnął serdecznie jej rękę.

Dzięki kluczowi od zatrzasku mogła Olga wyjść dwa razy niespostrzeżenie z domu, co przy jej powrocie spostrzegł Jan. I oburzony, że on, domowy, nie wiedział o jej wyjściu, postanowił sprawę przedłożyć panu.

Gdy zasiedli do obiadu, Jan wybrał chwilę sposobną i rzekł z pokorą:

— Prosiłbym jaśnie pana o sprawienie łańcuszka do drzwi, bo obawiam się, że ktoś zakradnie się do mieszkania.

— A to co nowego? skąd ci to przyszło? — mówił Sudkiewicz, zajadając potrawę z uwagą wielką i skupieniem.

— Bo ja odpowiadam za dom jaśnie państwa, a nie wiem, kto wchodzi, kto wychodzi... i nietylko ja, ale nikt z domowych, a drzwi mogą zostać otwarte.

— Hm.. to prawda.

Pani Sudkiewicz, przy słowach Jana, poruszyła się niespokojnie, miała bowiem na sumieniu i swe tajemne wycieczki i przyjmowanie ukryte rotmistrza Lednoja. Łańcuszek uniemożliwiłby jej schadzki, to też zaczerwieniona z gniewu, zawołała:

— O kim to mówisz, że wychodzi i wchodzi?

— Nie o jaśnie pani... ale na ten przykład jaśna panienka.

— A tobie, kpie, co do tego? — krzyknęła groźnie — ty pilnuj porządku, kurzu, a wara ci od państwa!

— Ja dla dobra jasnych..

— Ani słowa!... albo precz natychmiast.

— Już milczę — i wyszedł z talerzami.

— Reno, niepotrzebnie się unosisz — łagodził ją mąż — on z dobrego serca.

— Nie, szpiegów w domu nie chcę. Zamykaj twój pokój, Oldziu, zawsze na klucz, tak samo, jak ja swój i niech on się poważy tylko zastukać bez pilnego interesu, już ja go nauczę. I proszę cię. Pierre, zapowiedz mu to sam, od czegóż jesteś panem domu!

— Dobrze, Reno! Dobrze!

Posłuszny mąż wypełnił rozkaz i w ten sposób, zamiast ułatwienia kontroli, Jan miał utrudnione śledzenie, ku wielkiemu zadowoleniu Olgi.

Prawie równocześnie przyszli oboje do umówionego kościoła i po przywitaniu:

— Wiecie, koleżanko, mam tylko godzinę czasu, odprowadźcie mnie na Wolę, bo tam idę...

— Chętnie... to dlatego zapewne mówił Komar, by wam siódmą przypomnieć.

— Na razie zbytek troskliwości — śmiał się —

bo idę w moim interesie... ale chodźmy już... pójdziemy Alejami Jerozolimskiemi i jakoś trafimy. Czy oddaliście broszury?

— W dwóch miejscach, jeszcze w trzech do oddania jutro.

— Byliście na Lesznie?

— Tak jest.

— To bardzo dobrze,. dziś dostaną moi.

— Jacy wasi?

— Dziesiętnicy... bo muszę się pochwalić przed wami, że mam dziesięć dziesiątków i to chłopów na schwał! Ogromnie pomaga mi ich nienawiść do Niemców i Moskali, których dużo w mojej fabryce.

— Aż stu ludzi! Jak mnie to cieszy!

— Wszystko mało, za dwa tygodnie zmieniam fabrykę. Tu już zasiałem ziarno i dopilnuję tylko, aby się krzewiło i rosło; a sam do innej fabryki, aby znów werbować.

— A bez was nie zmarnieją?

— Oni? — zaśmiał się z dumą — dam wam dowód. Onegdaj szepnąłem dziesiętnikom, że wartoby założyć naszą gazetę, tylko trzeba składek. Ile? pytają. Z pięćset rubli... Postaramy się - i dziś przynieśli mi sto dziesięć rubli, słyszycie? Stu biedaków dało sto dziesięć, a nie zapominajcie, że płacą do kasy strejkowej i ochronnej.

— Czemuż nie powiedzieliście mi nic o zamierzonej gazecie? — powiedziała z wymówką — mam zaoszczędzonych pięćdziesiąt, dam przy spotkaniu.

— Przyjmuję... no, a ci moi?

— Bardzo dzielni i pełni poświęcenia. I wy myślicie założyć pismo? Kto będzie składał? Macie?

— Znajdą się... właściwie liczę na siebie, bo poduczam się składania czcionek... no i Helenę poproszę... mam dla niej miejsce od dziesiątej do trzeciej, może składać.

— A mnie wykluczacie — powiedziała z żalem — czyż nie potrafię?

— Wy będziecie kolporterką bo nie wzbudzacie podejrzeń w szpiegach.

— Niech Helena nosi... a ja chcę składać.

— Jeśli już tak gwałtownie, to dobrze. Weźcie kilka broszur, zaniesiecie do drukarni — tu wymienił firmę — spytajcie o pana Sewerowskiego, on nie należy do partyi, ale trzyma z nami; powiecie, że przychodzicie od Marka, to jego przyjaciel, a nasz towarzysz. W nagrodę zażądajcie, aby zaspokoił waszą ciekawość i pokazał, jak się składa. To będzie pierwsza i ostatnia lekcya, a ja wam przyślę litery i ćwiczcie się w domu.

— Dziękuję wam, już się wyćwiczę... ale i Helena mogłaby pomagać — bo żal się jej zrobiło, że odsunęła Helenę.

Weszli w ulicę hałaśliwą, zadymioną, z wysokiemi, nieotynkowanemi kamienicami, bez śladu ozdób, chęci przystrojenia i uprzyjemnienia mieszkańcom pobytu w tych domach. Zdawało się, że wzniesione pod wpływem gorączki, mają stać tylko chwilę, bo coś je naprzód goni, pędzi, niszczy.

— Co to za ulica, kolego?

— Żelazna... Tu już dzielnica robotnicza, i zdaje mi się, iż tu każdy kamień mówi o ciężkiej, beznadziejnej pracy nowożytnych niewolników.

Szli jakiś czas w milczeniu. Przerwał je Załecki:

— Wiecie, Olgo — spojrzał, czy się nie obrazi, ale ona uśmiechnęła się słodko — tak was nazywam w myśli, pozwolicie, że tak będę was nazywał w oczy.

— Dobrze, Buczku — zaśmiała się.

— Nie, w partyi i dla partyi jestem Buczkiem, ale nie dla was, nie z wami... alboż ja wiem? — machnął ręką zniecierpliwiony.

— A, Bolku... czy tak?

— Jesteście bardzo mili i kochani — zawołał rozpromieniony — otóż wiecie, Olgo, wydział wykonawczy całej naszej partyi został skoncentrowany w Warszawie; tu zbiegają się nici wszystkich organizacyi i Warszawa na czele, my dajemy hasło.

— Więc dzień czynu bliski? — zabłysły jej oczy i oblała się rumieńcem.

— Od Mandżuryi idzie ku nam; gdyby też miał siedmiomilowe buty — westchnął.

— A wy, Bolku, w organizacyi? w wydziale wykonawczym? Gdzie on?

— Tego nawet wam nie powiem, nie jestem członkiem, ale bliskim,

— I co zamierzacie?

— Będziecie składali, to się dowiecie.

— Więc kiedy gazeta?

— Wpierw trzeba przemycić czcionki, nająć mieszkanie, tyle do roboty, że boleję nad każdą chwilą straconą.

— A nie mogłabym wam pomódz?

— Nie obawiajcie się, wezmę was... Ale, ale tyle razy miałem was zapytać i przy was zapominałem. Jak urządzacie się u ciotki z waszemi wychodami? mogą zmiarkować, śledzić?

— Jakoś się wykręcam — uśmiechnęła się.

— Hm... z czasem się urwie, wykryje, a gdybyście się zapisali do różnych dobroczynnych towarzystw, są posiedzenia, sesye, narady, komitety, podkomitety...

— Tak, to dobra myśl... zrobię to.

— W tych dniach dam wam znać listownie o przybyciu transportu, teraz wy głównym składnikiem na całe Królestwo, będziecie mieli dosyć pracy.

— Miłej i pożądanej.

— Tu już Plac Wolski... bywajcie zdrowi, Olgo... do widzenia, Olgo.

— Do widzenia, Bolku, czekam listu.

— Zapewne będzie.

— A czcionki drukarskie?

— Jutro wam przyślę przez towarzysza o ósmej wieczorem.

— Dziękuję wam, Bolku.

Wracała do domu przez Leszno, dziwnie rze-



...zajęła się składaniem...

żwa, wesoła, tak, że mimowoli cisnęła się na jej usta pieśń pełna radości i tryumfu. Warszawa stolicą ruchu, liczyła w myśli swe wiadomości dzisiejsze; wychodzi gazeta, a ona członkiem tajnej drukarni, jest głównym składnikiem Królestwa... i co więcej? Roześmiała się prawie głośno, z wielkiej radości, gdyż i Bolko ją kocha... jaki on był zabawny ze swoim strachem, gdy nazwał ją Olgą... ależ wolno ci, Bolku... wolno, mój drogi, mój jedyny!

Na drugi dzień załatwiła się szybko z oddaniem broszur i poszła do drukarni.

Pan Sewerowski, zrazu bardzo uprzejmy, pokazywał kasztę, litery, spacye, lecz gdy Olga zaczęła notować sobie porządek liter i próbowała składać, patrzał na to ze śmiechem przymuszonym, a potem klął w duszy babską ciekawość i swoją delikatność.

Przeszło godzinę bawiła Olga w drukarni, ale pochlebiała sobie, że już poznała arkana sztuki zecerskiej. Wyszedłszy od Sewerowskiego, poszła wprost do stolarza i obstalowała na dziś małą kasztę, aby módz się wyćwiczyć i szybko składać przyszłą gazetę.

Wieczorem gorączkowo czekała na przysłanie czcionek i wręczywszy towarzyszowi pięćdziesiąt rubli, dla doręczenia Buczkowi, zajęła się składaniem.

Szło jej bardzo niesporo i bardzo niezręcznie. Męczyła się do późna w noc, a we śnie budziła ją zmora, która czcionkami wpijała się w oczy, w mózg, w ciało, a ona w żaden sposób nie mogła odszukać w kaszcie potrzebnej czcionki.

Zbudziła się cała w potach, zmęczona, przerażona, lecz oprzytomniawszy, ucieszyła się, że to był tylko sen, bo wie przecież, gdzie jest w kaszcie ta litera. I aby się przekonać, zapaliła świecę i wyszukała czcionkę, męczącą ją tak we śnie.

Od tego wieczoru, Olga, chyba przymuszona koniecznością, wychodziła ze swego pokoju, sama drwiła ze swej manii zecerskiej, ale mimo to, bez wytchnienia składała słowa, rozbierała i znów rozpoczynała swą pracę.

I jak zdziwi się Bolko, gdy ona zacznie składać, tak szybko, tak zręcznie, jak on spojrzy na nią? Uśmiechała się, lecz w tej chwili poważniała, bo przecież ona naprawdę ćwiczy się w składaniu czcionek w interesie partyi. Gazeta, jak mówił Bolek, jest tak potrzebna!

W sobotę otrzymała zawiadomienie od Bolka, że nie będzie w umówionem miejscu, z powodu spraw, nie cierpiących zwłoki.

Najpierw uczuła żal do niego, że przecież mógł znaleźć chwilę sposobną, aby ją zobaczyć, jeśli nie w niedzielę, przynajmniej dzisiaj. Następnie zaczęła sobie robić wymówki, że jest niesprawiedliwą, że on napewne chciał i pragnął widzenia, ale sprawy partyi zmusiły go do wyrzeczenia się. I jakie mogą być te sprawy?... Może odkryto wydział wykonawczy? Może schwycono bardzo ważną siłę? Może on, Bolek, musi się chronić przed policyą i żandarmeryą? On, taki śmiały, nie dbający o siebie, agitujący niemal otwarcie, może się naraził, może został zdradzony? Gdyby też mogła częściej go widywać, czuwać nad nim, ostrzegać go? Może i przyjdzie ten czas... przy wspólnem składaniu gazety będą razem i on musi jej powiedzieć wszystko, wszystko...

I gorączkowo wzięła się znów do ćwiczenia w składaniu czcionek.

Nazajutrz, w niedzielę, był Bolcew na obiedzie u Sudkiewiczów i jak zwykle, starał się być miłym i przyjemnym dla Olgi.

W czasie obiadu rozmowa przeszła na temat wojny, Japończycy odnieśli zwycięstwo dwukrotnie na lądzie i przystąpili do oblężenia Portu Artura.

Zdawałoby się, że te klęski umniejszą butę Rosyan, tymczasem, tak Bolcew, jak i Lednoj, nietylko drwili z Japończyków, ale chcieli iść o zakład, że ani jeden żywy Japończyk nie ujdzie ze stałego lądu, część ich potopi armia rosyjska, a drugą wydusi, jak się zwykle robi z plugawym owadem.

— Jednak Kuropatkin się cofa, a Japończycy idą naprzód — zrobiła uwagę pani.

— To najlepszy plan — śmiał się Lednoj — Kuropatkin, to wielki wódz, on chce ich zwabić w głąb lądu, a potem otoczy i wytnie w pień.

— Bądź co bądź — odezwała się Olga — floty rosyjskiej na Żółtem morzu tak jakby nie było, bo rozbita i zamknięta.

— Co znaczy dla naszego państwa kilkanaście a chociażby i sto okrętów — uśmiechnął się Bolcew lekceważąco — czy mało mamy w Kronsztadzie, w Sebastopolu, we Władywostoku? My bogaci i potężni, nie boimy się strat, ale tych, którzy się cieszą z naszego chwilowego niepowodzenia, tych nauczymy śmiechu po skończonej wojnie.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Z dni rzezi w Kijowie: Jedna z ulic Kijowa po rzezi Żydów dnia 2 listopada b. r.

Jubileusz Bratniej pomocy kelnerów w Krakowie.

Przed dwudziestu pięciu laty zawiązało się w Krakowie, dzięki energii i staraniom kilku kupców krakowskich, Towarzystwo kelnerów, mające za cel niesienie pomocy chorym, oraz wdowom i sierotom członków. Towarzystwo przyjęło nazwę „Bratnia pomoc kelnerów" i przez ćwierć wieku rozwijało bardzo pożyteczną działalność.

Ktokolwiek przypatrzył się bliżej pracy kelnerów, ten zrozumie, jak potrzebną i jak pożyteczną była „Bratnia pomoc". Ludzie ci od rana do późnej nocy pracują w ciemnych, dusznych nieraz norach, gdzie zaduch i obrzydliwa woń cały dzień panują, nie mając odpoczynku nawet w niedzielę, bo przecie wtedy ruch w handelkach jest największy. Raz na dwa tygodnie, czasem nawet rzadziej, mogą ci biali murzyni odetchnąć świeżem powietrzem, mając tak zwane „wychodne". Nic dziwnego, że praca ta niszczy ogromnie najbardziej nawet odporne organizmy, że znaczny procent kelnerów corocznie umiera, pozostawiając prawie zawsze niezaopatrzoną na przyszłość rodzinę. Bo wynagrodzenie ich jest małe, wystarcza zaledwie na utrzymanie, niema więc mowy o tem, aby coś grosza oszczędzić na wypadek choroby lub śmierci. „Bratnia pomoc" kelnerów rozwinęła się bardzo szybko, zyskała wkrótce bardzo wielką liczbę członków, bo była ona ich ucieczką w razie choroby, a w razie śmierci opiekowała się o ile możności rodziną zmarłego.

W ubiegłą niedzielę odbył się w Krakowie uroczysty jubileusz dwudziestopięcioletniego istnienia „Bratniej pomocy kelnerów". Od wczesnego rana komitetowi oczekiwali gości na dworcu kolejowym; przybyli delegaci z Wiednia, Pragi i z całej Galicyi. Ogólne zapoznanie nastąpiło wieczorem w hotelu saskim, gdzie podejmował gości prezes Towarzystwa, p. Franciszek Sauer, właściciel znanej w Krakowie kawiarni. Delegaci z Pragi przywieźli bratniemu Towarzystwu wspaniałe szarfy biało-czerwone z napisem: „Slovanskym bratrim krakovskim na pamet jubilea 1880—1905 — Ustredni spolek cisniku v Praze".

W poniedziałek o godzinie 11 rano zebrali się goście i uczestnicy w kościele N. P. Maryi na uroczystej Mszy św., w której wzięły udział cechy i stowarzyszenia ze sztandarami. Po Mszy św. przemówił do zebranych podniośle ks. kan. Krupiński, poczem wszyscy udali się do hotelu saskiego, gdzie w głównej sali, bardzo ładnie udekorowanej, odbył się wspaniały obiad. Między gośćmi był między innymi wiceprezydent miasta Chyliński, delegaci wszystkich stowarzyszeń krakowskich i inni. Po toastach odczytano duży szereg telegramów od bratnich stowarzyszeń i życzliwych towarzystwu osób, wreszcie goście rozeszli się celem oglądnięcia Krakowa; we wtorek zwiedzili Wieliczkę, a wieczorem odbył się w hotelu saskim bal, który zakończył uroczystość.

Zamieszczona w dzisiejszym numerze ilustracya, przedstawia uczestników uroczystości jubileuszowej, zebranych przed szybem Franciszka Józefa w Wieliczce.

Z dni rzezi w Kijowie.

Nie ma nic bardziej okrutnego, jak podniecony żądzą krwi, mordów i rabunku, rozpasany tłum, tembardziej, jeżeli ten tłum składa się z najciemniejszych warstw ludności, z tych „dzieci nocy", jakich tyle jest w każdem większem mieście, zwłaszcza rosyjskiem. Taki tłum staje się wtedy jednem okrutnem, chciwem krwi zwierzęciem, a jest tem niebezpieczniejszy, że zachęcony pozornem początkowem powodzeniem, traci panowanie nad sobą, zrzuca krępujące go więzy i hula bez pamięci, bez myśli o tem, co będzie później. Zaiste, podjudzać taki tłum, znaczy tyle, co włożyć rękę w gniazdo żmij.

A jednak i przed tem nie wzdrygnęła się czynownicza, reakcyjna policya rosyjska, dla której ogłoszenie konstytucyi zdało się być wyrokiem śmierci. Chciała ona w ostatniej chwili, póki jeszcze było można, pokazać carowi i światu, że konstytucya jest dla Rosyi zupełnie niepotrzebną, że nadanie jej było ze strony cara błędem, który co prędzej należało naprawić. Ślepa reakcya nie chciała, raczej nie mogła zrozumieć, że car konstytucyę nadać musiał i to musiał pod naciskiem rewolucyi całego narodu, nie rozumiała, że nie zdoła powstrzymać w pędzie ruchu, jaki ogarnął całą Rosyę, od Bałtyku po morze Czarne, od Warszawy po Ural, że ten ruch jest niezwyciężony i że Rosya samodzierżcza, Rosya pod knutem i nahajką jęcząca, przeszła już do historyi.

Tego wszystkiego nie mogła pojąć reakcya w Rosyi i aby, choćby po raz ostatni nawet, dać wyraz swej żywotności, zaanrażowała we wszystkich większych miastach rzezie, do których podjudziła tak zwanych „chuliganów", ludzi bez dachu i zajęcia, gotowych do mordu i rabunku, bo to stanowi ich główne rzemiosło. Tych ludzi podburzyła reakcya do mordowania żywiołów rewolucyjnych, nie licząc się z tem, że rozpasanych tłumów samowoli ukrócić prawie niepodobna i że ostrze buntu przez nią urządzonego, może się zwrócić przeciw niej samej.

Wystarczyło hasło do rzezi, a zaraz rozpoczęły się w Moskwie, Odessie, Kijowie, Kazaniu i innych miastach rzezie żydów i rewolucyonistów, które zwłaszcza w Odessie i Kijowie, szalone przybrały rozmiary. Na ulicach Kijowa lała się obficie krew żydów, przeciw którym głównie podjudzono chuliganów. Nie było prawie kamienia na ulicy, któryby nie był zbroczony krwią. Gdzie się tylko żyd pokazał na ulicy, tam rozwścieczony tłum rzucał się na niego i poprostu rozszarpywał w ka-



Fot. E. Pierzchalski. Kraków.

Jubileusz Bratniej Pomocy kelnerów w Krakowie: Uczestnicy uroczystości jubileuszowej, zebrani przed szybem Franciszka Józefa w Wieliczce.

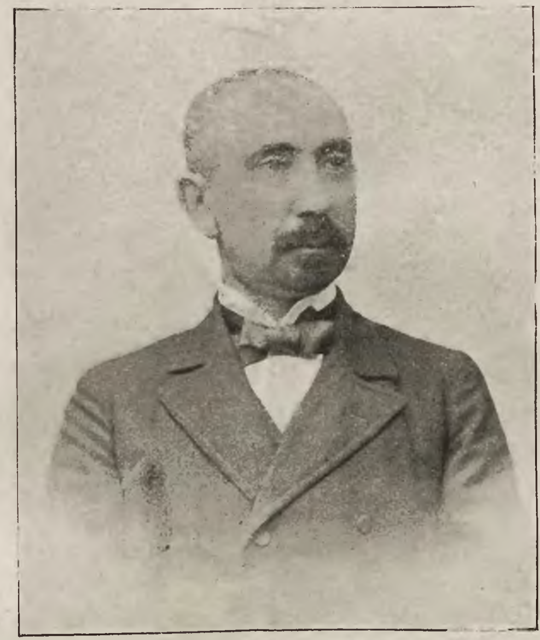
wałki, pastwiąc się nawet nad trupem. Nie dość na tem. Rozbójnicy, pewni bezkarności, bo pod ochroną policyi, wpadali do domów, wyciągali nawet dzieci z kołyski i mordowali wśród śpiewu „Boże caria chrani“, wyjąc z radości, jak zwierzęta, syte krwi, a krwi pragnące. Na ulicach leżały setki trupów pomordowanych z wyrafinowanem okrucieństwem; tu brudna, szara masa skłębionych ciał, tam oderwana i skatowana głowa, dalej trup jeden, mniej zeszpecony, bo chuligani nie mieli widocznie czasu pastwić się nad nim i pociągnęli dalej. Była to krwawa epopeja barbarzyńska, godna śpiewu nowoczesnego Homera.

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok ilustracyę, przedstawiającą jednę z odleglejszych ulic Kijowa po rzezi w dniu 2 listopada. Na ulicy leży trup człowieka z rozpłataną drągiem głową, pozostawiony na żer psom i ptactwu. Obrazek ten mówi sam za siebie; bije odeń taka groza, że tłómaczyć go więcej niema potrzeby

Straszny wypadek kolejowy.

Gdyby zliczono wszystkie wypadki, których ofiarą padli ludzie od czasu istnienia kolei żelaznych, toby można wyciągnąć stąd wniosek, że nie dobrodziejstwem dla ludzkości, nie wyrazem i znakomitym czynnikiem postępu i cywilizacyi są koleje, ale przekleństwem i klęską. Rokrocznie notują kroniki we wszystkich krajach cywilizowanych setki najrozmaitszych wypadków kolejowych, kończących się śmiercią, a co najmniej kalectwem mnóstwa ludzi, a przecież mimo to liczba podróżujących kolejami żelaznemi nietylko się nie zmniejsza, lecz owszem wzrasta w szybkiem tempie. Niestety nie zawsze idzie z tym objawem w parze dbałość zarządów kolejowych, już nie o wygodę pasażerów, ale wprost o bezpieczeństwo ich zdrowia i życia. I ogromną większość tych wypadków odnieść trzeba właśnie do zaniedbań ze strony zarządu kolei.

Również straszny wypadek, który wydarzył się przed dwoma tygodniami na linii kolejowej Kraków-Lwów, między stacyami Mszaną a Zimną-Wodą, wypadek, którego ofiarą padł dr. Joachim Pesches, sekretarz zboru izraelickiego we Lwowie, w tem ma najprawdopodobniej swe źródło. Mówimy najprawdopodobniej, gdyż wypadek ten nie jest jeszcze zupełnie wyjaśniony, zwłaszcza, że ofiara jego, dr. Pesches leży ciężko chory i nie może na razie dać dostatecznych w tej mierze objaśnień. Wiadomo tylko tyle, że dr. Pesches, jadąc w nocy z soboty na niedzielę z Wiednia do Lwowa, wypadł z pociągu między Mszaną a Zimną-Wodą, więc tuż pod Lwowem. Co było przyczyną wypadku – dotąd nie wiadomo. Dość że dr. Pesches ciężko pokaleczony leżał od w pół do trzeciej w nocy do piątej rano w polu, na torze, pozbawiony zupełnie przytomności. Doszedłszy do zmysłów i ujrzawszy w dali



Straszny wypadek kolejowy: Dr. Joachim Pesches.

światełko, doczołgał się się dr. Pesches do mieszkania budnika, który go zaniósł na stacyę w Zimnej-Wodzie i najbliższym pociągiem ciężarowym wysłał do Lwowa. Tutaj wóz pogotowia ratunkowego odwiózł go do domu i od tej chwili dr. Pesches znajduje się pod troskliwą opieką rodziny. Lekarze wezwani nie tracą nadziei utrzymania ofiary strasznego wypadku przy życiu, choć nie tają, że stan jest bardzo poważny. Na głowie odniósł dr. Pesches kilka ciężkich ran, a cudem można nazwać, iż czaszka nie została naruszoną; prócz szeregu drobniejszych kontuzyj odniósł on złamanie prawej ręki. W ostatnich dniach stan zdrowia dr. Peschesa nieco się poprawił.

Wspominaliśmy już, że przyczyna wypadku jest niewyjaśnioną. Przypuszczać tylko można, że dr. Pesches wyszedłszy na platformę, oparł się o drzwiczki, widocznie z winy funkcyonaryuszy kolejowych nie zamknięte i wypadł w czasie jazdy z pociągu. Być może, że przyszedłszy do zdrowia a przynajmniej do sił, będzie on mógł coś bliższego w tej sprawie powiedzieć.

W dzisiejszym numerze podajemy portret dra J. Peschesa.

Zjazd delegatów Związku stow. zarobkowych i gospodarczych.

W historyi rozwoju naszego krajowego przemysłu ważną rolę odgrywał i wielkie sobie wyrobił znaczenie Związek stowarzyszeń gospodarczych i zarobkowych. Stowarzyszenia te są dla włościan polskich zwłaszcza, ciemnych i wyzyskiwanych na każdym kroku, prawdziwą obroną i ucieczką w ostatniej potrzebie. Taksamo dla rękodzielników i przemysłowców, którzy, gdyby tych stowarzyszeń nie było, byliby zdani w zupełności na pastwę lichwiarzy, na wyzysk i temsamem musieliby zginąć. Związek stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych rozwinął przez szereg lat energiczną działalność, wzmacniał się i rósł w liczbę członków, tak, że w ostatnim roku rozporządzał majątkiem, wynoszącym kilkadziesiąt milionów koron.

Doskonałym obrazem siły i żywotności Związku był urządzony w ubiegłym tygodniu w Krakowie zjazd delegatów. Wzięło w nim udział przeszło stu delegatów, między nimi poseł Jakób Bojko, jeden z najdzielniejszych trybunów ludu. Obrady odbywały się w hotelu saskim pod przewodnictwem prezesa, p. Edwarda Wojnarowicza.

Z pomiędzy wygłoszonych na zjeździe referatów, na szczególną uwagę zasługuje referat dra Szydłowskiego p. t.: „Zadania stowarzyszeń wobec rozwoju przemysłu w naszym kraju“. Referent podnosił, że stowarzyszenia Związku powinny kierować swoją działalność ku podniesieniu przemysłu krajowego, a nie ograniczać się tylko do udzielania pożyczek wekslowych. Kraj nasz bowiem rozwinął już bardzo daleko idącą działalność na polu



Fot. E. Pierzchalski. Kraków.

Zjazd delegatów Związku stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych: Uczestnicy Zjazdu, zebrani w Tow. Ubezpieczeń, gdzie się odbywały obrady.

dźwigania przemysłu krajowego, że trudno od niego w obecnych stosunkach więcej wymagać. Akcya kraju powinna się zaś spotkać z poparciem instytucyi zaliczkowych, mogących w ten sposób zużytkować z pożytkiem dla siebie i kraju pewną część swoich kapitałów. Projekt takiej akcyi powinien obmyśleć Związek.

Prezesem Związku wybrano nadal jednogłośnie p. Wojciecha Biechońskiego, a do wydziału weszli ponownie: dr. Jacek Jabłoński, Kazimierz Łaski, Wenanty Szydłowski i Władysław Terenkoczy. Do komisyi kontrolującej weszli pp.: H. Zanderer z Dembicy, J. Stępień z Podgórza i St. Horoszkiewicz ze Stanisławowa.

Obrady delegatów były bardzo poważne i wydatne, poruszono na nich mnóstwo spraw ważnych i bardzo dla Związku pożytecznych.

Zamieszczona w dzisiejszym numerze ilustracya przedstawia uczestników zjazdu, zebranych w gmachu Tow. ubezpieczeń w Krakowie.

Zaślubiny hr. Badeniego z hr. Plater Zyberżanką.

W ubiegłym tygodniu pobłogosławionym został związek małżeński między hr. Henrykiem St. Badenim, synem marszałka kraju St. hr. Badeniego i Cecylii z hr. Mierów, a Jadwigą Plater-Zyberżanką, córką hr. Stanisława i Heleny z książąt Czartoryskich Plater-Zybergów, właścicieli Moszkowa w Galicyi i wielu dóbr za kordonem.

Związek ten połączył ścisłym węzłem zasłużone w Polsce rody Badenich, Platerów i Czartoryskich.

Ślub odbył się w Krakowie, a udzielił go nowożeńcom ks. biskup Roop, który przybył w tym celu z Wilna. Udział gości weselnych z pomiędzy najwyższych sfer arystokracyi polskiej był ogromnie liczny. Na wspaniałem przyjęciu po ślubie, danem przez rodziców panny młodej, wygłoszono szereg toastów, w których mowcy podnieśli położone przez rody Badenich, Czartoryskich i Platerów zasługi dla kraju.

Państwo młodzi odjechali po ślubie do Koropca, majętności hr. Henryka Badeniego w powiecie buczackim.

W dzisiejszym numerze podajemy portret panny młodej Jadwigi hr. Plater-Zyberżanki.



Fot. T. Bahrynowicz. Lwów.

Zaślubiny hr. Badeniego z hr. Plater-Zyberżanką: Hrabianka Cecylia Plater-Zyberżanka.

Kontrrewolucya w Odessie.

Najchytrzejszy mąż stanu w Rosyi, Sergiusz Witte, powiedział niedawno, że „naród rosyjski nie dojrzał jeszcze do reform“. Słowom tym zadał kłam cały naród rosyjski, który w ostatnich miesiącach pokazał, że jest znacznie silniejszy i o wiele więcej do życia politycznego dojrzały, aniżeli sądził Witte, ba, aniżeli sądziła cała Europa, która z początku z niedowierzaniem patrzyła na rewolucyę. Naród rosyjski ma inną duszę, nie taką, jak narody zachodniej Europy, oddawna używające swobód konstytucyjnych. Rosyanin jest długo cierpliwy, długo siedzi spokojnie, choćby w najsroższym ucisku, ale jak tylko padnie weń iskra myśli rewolucyjnej i rozgorzeje, wtedy wybucha z niepohamowaną siłą, walczy do upadłego, a nie cofnie się i nie zadowolni małą zdobyczą. Rosyanin albo będzie gnił w kajdanach, albo musi być wolnym i to wolnym jak ptak, nie połowicznie, bo on nie zna połowiczności. Okazało się to najlepiej w ostatnich tygodniach października, kiedy cały naród rosyjski, rujnując się fizycznie i materyalnie, zastrejkował. Ale nie ma reguły bez wyjątku. I w narodzie rosyjskim, zrewolucyonizowanym, zapalonym do walki, nie brakło szumowin i mętów, które nie zdawały sobie sprawy z tego, o co ich bracia walczą i krew przelewają, które już tak przywykły do kajdan ucisku, że konstytucya, jaką nareszcie car nadać musiał, wydała im się nietylko niepotrzebną, ale nawet szkodliwą.

Tych szumowin społecznych, rekrutujących się z najciemniejszego motłochu, ludzi o najniższych, zwierzęcych instynktach, użyła czynownicza policya rosyjska, aby w ostatniej chwili, chociaż już po ogłoszeniu manifestu konstytucyjnego, sparaliżować ruch rewolucyjny. Policya podjudziła ten motłoch ciemny, ażeby, korzystając z nadania swobody, pohulał sobie bezkarnie, bo pod jej opieką i „zemścił się“ na rewolucyonistach i na żydach, jako na największych i najzacieklejszych wrogach państwa. Zorganizowano tedy we wszystkich większych miastach ten motłoch i urządzono pod wodzą przebranych policyantów „pochody patryotyczne“, po których zwykle następowała rzeź żydów i rewolucyjnych robotników.

W pierwszych dniach listopada była z tej przyczyny Odessa widownią takiego barbarzyństwa, że hańbę ono przynosi naszemu wiekowi, wiekowi cywilizacyi i wysokiej etyki. Działy się tam rzeczy, którychby się nie powstydziło średniowiecze. Fanatyzm tłumu ulicznego jeszcze raz dał się we znaki ludzkości.

Zorganizowane przez policyę bandy rzezimieszków, przeciągały ulicami niosąc portrety cara wśród śpiewu carskiego hymnu, przy szeleście setek trójkolorowych chorągwi. Bandy te, podjudzane przez swoich przywódców, policyantów, rzucały się na pochody robotników rewolucyjnych, rozbijały je, wpadały do domów, łupiąc i niszcząc wszystko, co pod rękę wpadło, mordując nawet kobiety i dzieci, zwłaszcza żydów, obracając w perzynę dobytek tych, którzy za ich wolność walczyli. A nie można było tych band ukrócić, bo wraz z nimi rabowała policya. Dopiero kiedy krwawe instynkty motłochu rozpasały się tak, że nawet policyi groziło niebezpieczeństwo, zaczęto się brać do nich na seryo i nareszcie ten ruch, mający zdyskretować ruch rewolucyjny, zgniециono.

Zamieszczona w dzisiejszym numerze ilustracya przedstawia obrazek z kontrrewolucyi w Odessie, mianowicie demonstracyjny pochód „patryotyczny“ czarnych sotni.

Dyplomata „kłamca“.

Dyplomaci, jako ludzie, od których zawisły bardzo częste stosunki między całemi narodami, mają w dzisiejszym świecie znaczenie szczególnie ważne. Dość powiedzieć, że od dyplomacyi zależy obecnie zawsze pokój lub wojna, że przy zielonych stolikach rozgrywają się nieraz losy państw, waży się życie milionów na szali. Jeżeli więc od jakiegokolwiek urzędnika wymaga się poświęcenia i wysokiego poczucia ludzkości, wysokiej etyki i kultury, to tembardziej musimy te wymagania stosować do dyplomatów. Ale odrazu zaznaczyć musimy, co już niejednokrotnie udowodniono, że wśród dyplomatów mało jest ludzi, dorosłych do wysokości powierzonego im zadania, natomiast bardzo wielką ich część stanowią karyerowicze, zaślepieńcy, dla których naród jest niczem, a osoba panującego jedynie i rozkazy rządu są święte.



Kontrrewolucya w Odessie: Demonstracyjny pochód „patryotyczny“ czarnych sotni na ulicy Richelieu'go w Odessie. (Według nadesłanego nam zdjęcia fotograficznego).

Szczególnie odnosi się to do dyplomacyi niemieckiej i rosyjskiej.

Jednym z takich dyplomatów jest dyplomata rosyjski hr. Ignatiew. Człowiek to zupełnie prawie nie dzisiejszy, jeden z tych, podobnych Pobiedonoscewowi, fanatyków samodzierżawia, dla którego świętym jest tylko car, a jedynem marzeniem, aby władza carska rozciągała się na coraz szersze obszary, choćby zdobycie tych obszarów kosztowało miliony ofiar, choćby wywołać miało najzaciętszą wojnę. Hrabia Ignatiew znany jest w Rosyi z tego, że dzięki jemu wyłącznie, dzięki jego naleganiom i przedstawianiom, wybuchła wojna rosyjsko-turecka, która tyle tysięcy ludzi pochłonęła, nie przynosząc Rosyi tak nadzwyczajnych korzyści. Obecnie, w czasie rewolucyi, kiedy mury caratu poczęły się coraz bardziej rysować pod naporem rewolucyonistów, hr. Ignatiew był jednym z najzagorzalszych, najzaciętszych przeciwników nadania ludowi jakichkolwiek swobód. A właśnie hr. Ignatiew cieszył się na dworze carskim wielkiem poważaniem i miał wraz ze swym przyjacielem, byłym oberprokuratorem św. Synodu, nie mały wpływ na cara. I możemy twierdzić na pewne, że pod jego wpływem zniesiono również konstytucyę w Królestwie polskiem. Nie ulega też wątpliwości, że ten zausznik cara nawet po wejściu Rosyi na drogę państwa konstytucyjnego da się jeszcze nieraz ludności we znaki.

W zupełnieniu artykułu podajemy obok portret hrabiego Ignatiewa, którego własni jego rodacy nazwali „dyplomatą kłamcą“.

Przed otwarciem parlamentu.

Wspaniały gmach na Franzensringu w Wiedniu, ożywi się za kilka dni nowem życiem. Jak wiadomo bowiem, rząd przeznaczył 28 b. m. na otwarcie nowej sesyi parlamentu.

Sesya ta będzie miała wielkie znaczenie, gdyż na pierwszy plan w obecnej sytuacyi politycznej w Austryi wybiła się reforma wyborcza, która w parlamencie ma zaciekłych zwolenników i zaciekłych przeciwników. Będzie to więc sesya ogromnie burzliwa. Socyaliści wytężyli wszystkie siły, dokładali najenergiczniejszych starań, by reformę wyborczą wysunąć jako pierwsze żądanie ludu. Co niedziela urządzali socyaliści demonstracye i zgromadzenia we wszystkich większych miastach Cislitawii z jednym i tymsamym porządkiem dziennym: „Żądamy powszechnego, równego, tajnego



Fot. „Kordyan“. Lwów.

Dyplomata „kłamca“: Hrabia Ignatiew, jeden z największych przeciwników konstytucyi w Rosyi.

i bezpośredniego prawa głosowania“. Sprawa ta już w ubiegłej sesyi była w parlamencie roztrząsaną, ale ją, jak się to mówi, „ubito“ na razie, nie spodziewając się nawet, że w nowej sesyi, jaka się zacznie w przyszły wtorek, będzie ta sprawa musiała być załatwioną i to załatwioną pomyślnie dla ludu, który przejrzał, poznał jak go obecny system kuryalny krzywdzi i podniósł się teraz do walki o swe najświętsze prawa.

Z przykrością zaznaczyć musimy, że w ostatnich latach życie parlamentarne w Austryi zupełnie zamarło, praca ustawodawcza tej najwyższej instytucyi prawodawczej zanikła. Po ustąpieniu z końcem ubiegłego roku prezydenta ministrów Koerbera ster rządów objął baron Gautsch, który jednakowoż nie dorósł do wysokości powierzonego mu zadania i zamiast uzdrowienia parlamentu, zamiast wprowadzenia go na tory intenzywnej pracy dla dobra ludów, Austryę zamieszkujących, sprowadził jeszcze większy rozkład w parlamencie. A mógł on o tem wiedzieć, że bez poważnych ustępstw na rzecz lśdów w Austryi, nie można nawet myśleć o prawdziwem uregulowaniu pracy parlamentu. Sesya obecna będzie też prawdopodobnie przełomową, gdyż obradom posłów wtórować będą zgromadzenia ludowe w całej Austryi, domagające się tego, co posłowie postawić mają jako najważniejszą sprawę do załatwienia, t. j. reformę wyborczą. Zapowiedziano bowiem na dzień 28 b. m. strejk masowy, który ma zmusić rząd do nadania ludom powszechnego prawa głosowania. Gmach na Franzensringu będzie zatem w przyszłym tygodniu widownią walki zaciętej między pionierami postępu, a zaśniedziałymi konserwatystami, którzy boją się reformy, jak dyabeł święconej wody.

W czasach, kiedy powszechne prawo głosowania należało niemal do autonomii, stwierdzono, że przyczyni się ono także do usunięcia sporów narodowościowych, paraliżujących od tylu lat parlament i cały rozwój Austryi. Obecnie jesteśmy bardzo blizcy zaprowadzenia tej od dawna przez masy ludowe upragnionej reformy, nie wiadomo jeszcze, jak się wobec tego ułożą stosunki w parlamencie, opartym na powszechnem prawie głosowania, ale stwierdzić możemy już dzisiaj, że teraz sama dyskusya „reforma wyborcza“ przygotowania do niej i powszechne zainteresowanie, usunęły na bok wszelkie inne kwestye, nawet nieszczęsny spór czesko-niemiecki. Parlament musi i ten znamienny fakt wziąć na uwagę i nie ulega wątpliwości, że obecna sesya musi przynieść zwycięstwo szerokim masom ludności.

Zamieszczamy niżej ilustracyę, przedstawiającą gmach parlamentu wiedeńskiego.



Przed otwarciem parlamentu: Gmach parlamentu wiedeńskiego na „Franzensring“.

CÓRKA ŻEBRACZKI.

Romans kryminalny.

Z FRANCUSKIEGO PRZEŁOŻYŁ J. R.

9 (Ciąg dalszy).

— Prawda nie jest przesadą. Chrześciańska miłość bliźniego dała pani siłę do zrobienia tego, co pani zrobiła dla mnie w ostatniej godzinie. Bo przecież to, że jeszcze żyję, to tylko pani mam do zawdzięczenia.

— Pan żyje, bo takie było przeznaczenie i zrządzenie Opatrzności — odparła — a ja byłam tylko narzędziem w ręku Boga.

Chory zamknął znowu powieki. Zdawało się, że go sen na nowo ogarnia. Pani Bernere patrzała nań przez chwilę i potrzęsła głową.

— Albo on się sam łudzi, albo też mnie chce oszukać — rzekła półgłosem.

Bladość jego lic, głęboko zapadłe oczy, nerwowe drgawki, przebiegające co chwila po jego twarzy, pot, występujący na czoło nie zdawały się wróżyć mu rychłego do zdrowia powrotu.

Wkrótce twarz jego znów pokryła się chorobliwym rumieńcem, a po chwili znużone powieki zamknęły się. Poruszył wargami. Pani Bernere podała mu limoniady. Był tak osłabiony, że musiała mu pomódz, aby się podniósł trochę.

— Boli okropnie — szepnął, wskazując na głowę.

Zaczęła mu znowu robić zimne okłady, gdyż nic innego nie umiała.

— Tam wisi moje palto — rzekł chory po chwili — w kieszeni jest tam list w wielkiej kopercie. Moja pani, może mi go pani poda.

Wykonała polecenie; przyniosła wielką, trzema pieczęciami opatrzoną kopertę i położyła ją na łóżku.

— Tu jest zawarta tajemnica mojego życia — rzekł chory, kładąc drżącą rękę na kopercie. — Zabrałem to pismo ze sobą, gdym szedł odebrać sobie życie, bo myślałem, że przecież kiedyś tak czy tak znajdą moje zwłoki i że wtedy treść tego pisma dojdzie do wiadomości władz. Tymczasem stało się inaczej — całkiem inaczej.

— Pewnie się pan rozmyśliłeś i nie chcesz już, ażeby ten list dostał się w obce ręce.

Zapytany milczał przez chwilę, poczem rzekł:

— Chciałbym to pismo oddać teraz do rąk pani, z prośbą, aby je pani po mojej śmierci oddała prokuratoryi państwa.

— Prokuratoryi? — zapytała zdziwiona,

— Tak jest — odrzekł chory. — Chodzi tu o pewien rodzaj pokuty — dodał wyjaśniając — a ponieważ przysięga, jaką się związałem, nie pozwala mi mówić za życia, więc chciałem, ażeby tajemnica wyszła na jaw po mojej śmierci.

Podał kopertę pani Bernere, prosząc, ażeby ją przechowała na razie w swym pokoju. Potem ujął jej rękę i rzekł serdecznie:

— Wierzę mocno w dobroć pani i spodziewam się, że pani po mojej śmierci, jak tylko zawrę powieki, uda się zaraz z tą kopertą do prokuratoryi. Jeśliby pani tego nie zrobiła, to ściągnie pani na siebie odpowiedzialność przed Wszechwiedzącym i stanie się pani winną tego, że o pomstę do nieba wołająca krzywda nie zostanie nagrodzoną.

— Stanie się, jak pan chcesz — zapewniała pani Bernere, odchodząc z kopertą do swego pokoju.

Gdy zmierzch zapadał, stan chorego zaczął się pogarszać. Pomimo to jednak chory stale opierał się sprowadzeniu lekarza, twierdząc, że koniec jego jest już niedaleki i że żadna pomoc na nic się nie przyda.

— Może panu zawołać księdza? — spytała.

Chory nic nie odpowiedział, ale przy słowie „księdza“ twarz jego naraz się ożywiła.

— To myśl — szepnął — wielka, wspaniała myśl!

— Pan sobie czego życzy?—spytała, nie rozumiejąc jego słów.

— Naprzód wody. — Tak. — A teraz niech tu pani siądzie, tu, obok mnie.

Usiadła.

— Pragnąłbym, aby ksiądz tu przyszedł, ale w pewnym szczególnym celu — rozpoczął. — Powiem pani prosto i bez ogródek, jaka mi nagle myśl przyszła do głowy. Jeżeli ten ksiądz przyjdzie, to musi połączyć nasze ręce i mocą swego urzędu dać nam ślub.

Pani Bernere cofnęła się przerażona.

— Gorączkuje! — wyrwało się z jej ust.

— To nie gorączka, dobra kobieto, nie; to, co pani słyszała, to były słowa, wypowiedziane z rozwagą i namysłem. Powtarzam pani: Jest mojem najszczerszem życzeniem połączyć się z panią w ostatniej godzinie mego życia kościelnym ślubem.

— W jakimże celu?

— Proszę, niech pani słucha dalej; jak już pani powiedziałem, jestem sam jeden na świecie, a przynajmniej nie znam nikogo, kogo mógłbym uczynić moim spadkobiercą. Majątek mój wynosi około ćwierć miliona franków. Wszystko to przeszłoby na własność rządu, gdyby pani nie zgodziła się na mój plan.

Wziął jej rękę w swoją dłoń i mówił dalej:

— Nie chodzi tu przecie o faktyczne zawarcie małżeństwa; na to nasza znajomość jest zbyt świeża i niedawna. Akt ślubny ma być tylko wypełnieniem prawnej formalności. Po ślubie bowiem będzie pani mogła, jako moja żona, odziedziczyć cały mój majątek.

Uczuła, że jej się słabo robi.

Czyż to możliwe, aby ona, żebraczka, zmuszona iść od drzwi do drzwi i żebrać, aby jeno módz żyć, naraz stała się spadkobierczynią ćwierćmiliona franków, by z najgorszej nędzy przeszła nagle do kolosalnych dostatków?

Myśl ta była tak wielka, tak potężna, że jej prawie mąciła zmysły.

— Majątek to uczciwie zapracowany — zaczął chory na nowo — i może go pani przyjąć odemnie ze spokojnem sercem; niema na tych pieniądzach ani klątw, ani złorzeczeń, ani łez, wyciśniętych przez krzywdę.

— Ale to przecie niemożliwe, aby pan ten majątek olbrzymi chciał oddać mnie, kobiecie obcej, nieznanej panu.

Chory spojrzał na nią dziwnym wzrokiem.

— Osobiście, cieleśnie, jesteś pani dla mnie obcą; jednak los uczynił panią bardzo bliską memu sercu i zdaje mi się, że od dawnych, niepamiętnych czasów wiążą dusze nasze węzły, jakie tylko miłość lub przyjaźń albo pokrewieństwo zadzierżgnąć zdołają.

Znużony opadł na poduszki i zamknął oczy. Wkrótce jednak odzyskał siły, otworzył oczy i rzekł:

— Jakże, namyśliła się pani? Zgadza się pani?!

Kobieta oddychała ciężko; nieopisane jakieś uczucie ścisnęło jej gardło, tak, że nie nie mogła odrazu odpowiedzieć.

Dopiero po chwili rzekła:

—oCzy to tak nagła sprawa? Zdaje mi się, że będzie najlepiej odłożyć stanowcze postanowienie choćby do jutra.

Chory potrząsł głową przecząco.

— Siły mnie coraz bardziej opuszczają, ja to czuję — rzekł — jutro mogłoby już być zapóźno.

Pani Bernere widziała, jak jego oczy, pełne oczekiwania, zawisły na jej ustach; nie namyślając się więc długo, nie tyle dla własnego interesu, ile dla jego uspokojenia, odrzekła:

— A więc — niech się tak stanie w imię Boże!

Chory chwycił jej rękę i podniósł do swego głośno bijącego serca.

— Niech ci Bóg zapłaci za te słowa, moja ty — kochana żono!

Łzy zabłysły w jego oczach.

Pani Bernere była również wzruszoną do głębi. Uścisnęła więc serdecznie jego rękę. Bo przecież to była ręka, którą ku niej wyciągnięto, aby ją z żebraczki uczynić możną, bogatą panią.

W tej chwili drzwi się otworzyły i do pokoju weszła stara, porządnie ubrana kobieta.

— O, jest i moja dobra Marta, moja wierna opiekunka — zawołał żywo chory.

— Pan chory, cóż panu brakuje? — rzekła stara, podchodząc ku niemu.

— Zdrowemu brakuje bardzo wiele, choremu tylko jednego, to jest zdrowia. Oto moja odpowiedź — rzekł i dodał zaraz — a teraz, dobra moja Marto, pobiegnij do wsi, do księdza proboszcza, pozdrów go odemnie i poproś, ażeby tu zaraz przyszedł.

— Czy rzeczywiście z panem tak źle?

— Tak, Marto, już tak źle; idź a pospiesz się, bo nie niedaleko!

Staruszka wyszła z pokoju.

— Stąd do wsi jest kawałek drogi — rzekł Fryderyk — i jeżeli dobrze pójdzie, to za półtorej godziny może tu nadejść proboszcz.

Ściemniło się. Pani Bernere zapaliła światło; spuściła story u okien i wezwana przez chorego, usiadła znowu przy jego łóżku.

— Ponieważ zgodziłaś się zostać moją żoną — zaczął po krótkim namyśle — uważam więc za stosowne, a nawet za mój obowiązek, opowiedzieć ci nieco o mojej przeszłości. Życie moje było bardzo burzliwe i brakłoby mi i czasu i sił, gdybym ci je chciał ze wszystkimi szczegółami opowiedzieć. Musisz się więc zadowolnić kilkoma rysami, które ci podam.

Moi rodzice byli dosyć bogaci; mieli ładne gospodarstwo, posyłali mnie do szkół i chcieli, abym został profesorem; ponieważ jednak nie miałem wielkiej ochoty grzebać w książkach, więc oddali mnie do szkoły rolniczej. To odpowiadało w zupełności mojemu usposobieniu. Lubiałem bowiem uprawiać rolę, zajmować się ogrodnictwem, polować, łowić ryby i hodować bydło.

Jako dwudziestotrzechletni młodzieniec objąłem pierwszą moją posadę pomocnika rządcy w jednych z większych dóbr, gdzie byłem przez kilka lat. Tam to obudziła się w mem sercu pierwsza, czysta, cicha ale głęboka miłość do córki jednego z urzędników w gospodarstwie. Była to miłość platoniczna w całem tego słowa znaczeniu. Nikt nie wiedział, że kocham, nawet ta, do której się w cichych godzinach błogiej szczęśliwości modliłem, nawet ona, przedmiot mojej miłości o tem nie wiedziała, nie przeczuwała nawet, jak ja ją gorąco kochałem.

Nareszcie nadszedł dzień, w którym, pokonawszy nieśmiałość i trwogę, a korzystając z nadarzającej się sposobności, wyznałem jej moją miłość.

Wysłuchała mnie spokojnie i oświadczyła mi w końcu, że serce jej już nie jest wolne, że jest już prawie zaręczona.

Mimo to nie poddawałem się rozpaczy. Żyłem ciągle nadzieją, że jednak ona będzie moją żoną, aż ją ujrzałem z moim rywalem u ołtarza, przy ślubie.

Chociaż ślub, jako oddawna planowany, nie mógł mnie niespodzianie zaskoczyć, nie był czemś nieoczekiwanem, to jednak uczułem, wychodząc z kościoła, że jestem zupełnie zdruzgotany. Ślub jej z innym rozwiał moje najcudniejsze sny i w duszy ciemność rozpostarł.

Zaraz po ich ślubie uciekłem stamtąd i błąkałem się bez celu po świecie. Trwało to dopóty, dopóki się nie rozeszły pieniądze, jakie miałem. Ostatecznie bieda zmusiła mnie do szukania chleba. Szczęście mi sprzyjało, dostałem posadę jako pomocnik rządcy na jednym z większych folwarków.

Któż odmaluje moje zdziwienie, kiedy w moim bezpośrednim przełożonym poznałem człowieka, który mię niegdyś tak nieskończenie nieszczęśliwym uczynił, który wziął za żonę dziewczynę, ukochaną przezemnie pierwszą potężną miłością młodzieńczego serca.

Jakem tylko spojrzał na niego, w sercu mojem obudziła się nagle żądza zemsty, która, jak ogień piekielny, opanowała wkrótce całą moją istotę.

Pani Bernere, która tego wszystkiego słuchała z coraz większą uwagą, zerwała się nagle z krzesła. Purpurowa czerwień okryła jej policzki, w oczach jej gorzał ogień.

— Nazwisko rządcy — nazwisko! — wybuchła.

Chory spojrzał na nią surowym wzrokiem.

— Postanowiłem żadnych nazwisk nie wymieniać.

— Ale nazwisko rządcy mi wymienisz!

— Dlaczego?

— Twoja historya przypomina mi zupełnie podobne zdarzenie, w którem i ja byłam interesowaną.

W tej chwili ktoś zapukał do drzwi i na progu stanął wysoki mężczyzna w długim płaszczu i z szerokim kapeluszem w ręku. Włosy miał już dość gęsto pokryte siwizną, twarz ozdabiała długa, również siwiejąca już broda, a pod krzaczastymi brwiami gorzało dwoje ruchliwych oczu. Pani Bernere podeszła ku niemu.

— Czego pan sobie życzy?

— Chciałbym pomówić z panem Fryderykiem Hohlfeldem.

— Z Fryderykiem Hohlfeld? — powtórzyła zdziwiona.

— To ja jestem — ozwał się chory. — Ja się nazywam Fryderyk Hohlfeld.

Nieznajomy zbliżył się do łóżka.

— Chciałbym z panem pomówić sam na sam, w cztery oczy — rzekł, rzucając okiem na panią Bernere, która stała jak osłomiona. Zrozumiała ten wzrok i cicho wyszła z pokoju.

Gdy drzwi się za nią zamknęły, nieznajomy zwrócił się do chorego.

— Pan mnie już nie poznaje? -- zapytał stłumionym głosem.

— Wyznam otwarcie, że nie.

— Jestem hrabia Mironeau. Dużo czasu minęło, jakeśmy się nie widzieli, całych piętnaście lat; nic dziwnego, żeśmy się obydwaj zmienili do niepoznania.

Usłyszawszy nazwisko Mironeau, chory poruszył się nerwowo. Wkrótce jednak uspokoił się tak, że mógł z hrabią swobodnie rozmawiać, odpowiedział więc głucho:

— Z przeszłością moją zupełnie zerwałem i zmieniłem nawet nazwisko, przekonany, że w ten sposób zatrę wszelki ślad po sobie, że nie spotkam już nikogo z tych, którzy mnie dawniej znali.

— Jednak jest ktoś, wobec kogo nie umiałeś pan zachować tajemnicy i który znał pański pseudonim.

— Tak — mój ojciec!

— Właśnie; zdradził pana ojciec, ale tylko wobec mnie.

— A jakiż pan miałeś interes w tem, aby śledzić moje kroki? — zapytał teraz chory, który wobec hrabiego, dawnego swego chlebodawcy, zachowywał się zupełnie jak wobec równego sobie.

Hrabia spojrzał nań posępnym wzrokiem.

— Mogę pana zapewnić — rzekł wyniośle — że nie robiłem tego dla prostej przyjemności.

— Więc czego pan chcesz odemnie?

— Naprzód chciałbym wiedzieć, co się dzieje z tą Gizelą, którą wychowaniem pan się zająłeś. Gdzie ona się znajduje?

— Prawdopodobnie jest przy swoim mężu. Od czasu, jak ślub wzięła, już nie słyszałem o niej.

— Mówisz pan prawdę?

— Jak pragnę, aby Bóg był dla mnie miłosierny.

Hrabia mruknął coś pod nosem, poczem rzekł:

— Z wiarygodnego źródła otrzymałem niedawno wiadomość, że prokuratorya państwa zarządziła rewizyę procesu w sprawie zamordowania mego brata, a zarządziła ją na skutek jakiegoś anonimowego doniesienia. Cóż pan na to?

— Nic!

— Czy anonim ten wyszedł od pana, czy też pan dał powód do tego? Proszę o odpowiedź!

— Nie odpowiem panu.

— Złamałeś pan przysięgę, czy nie?

— Przysiędze mojej pozostałem wierny.

— Ale autorem anonimu musiał być ktoś, dobrze w tej sprawie poinformowany. Kto to mógł być?...

— Nie mam pojęcia.

— Zdaje mi się, że pan zaczynasz grać fałszywą rolę! — rzekł hrabia, patrząc nań jaszczurczym wzrokiem.

— Nie potrzebuję grać, nie gram i nie będę.

Hrabia podniósł groźnie rękę w górę.

— Mogę pana tylko ostrzedz, abyś pan nie łamał przysięgi, zrozumiano?! Gdyby panu kiedy przyszła ochota wygadać się, to — zginiesz!

— A pan ze mną!

— O, mne nikt niczego nie udowodni, podczas gdy jedno moije słówko wystarczy, aby cię posłać na szubienicę!

Chory uśmiechnął się.

— Nie groź mi pan, panie hrabio; źle się pan wybrałeś z groźbami.

— Wiedz pan jednak o tem, że nie lubię gadać na wiatr. — Ale jest jeszcze inna sprawa.

— Proszę pana, tylko niech się pan streszcza. Jestem chory i nie mogę długo rozmawiać.

— Zależy to zupełnie od pana, jak prędko skończymy.

— O cóż więc chodzi?

— Zawarliśmy swego czasu tajemniczy układ, którego jeden egzemplarz znajduje się w pańskich rękach. Ten egzemplarz musisz mi pan wydać!

— To się nie stanie! — odparł sucho Hohlfeld.

— A ja panu mówię, że to się stać musi!

— Skąd pan przychodzisz do tego, aby żądać tego pisma odemnie?

— Podejrzenie moje, że pan jesteś autorem anonimu, o którym mówiłem, jest uzasadnione i wobec tego widzę się zmuszonym odebrać panu ostatnią broń, jakiejbyś pan mógł użyć przeciw mnie!

— A ja miałbym się zdać bezbronny w zupełności na łaskę i niełaskę pana, hahaha! — śmiał się szyderczo Hohlfeld.

— Sam pan sobie przypisz winę tego, że muszę pana uczynić bezbronnym. Bo nie myślę wcale czekać, aż pan, z mojem własnem pismem w ręku, staniesz przeciw mnie jako główny świadek w sądzie.

— O tem wcale nie myślę — przerwał mu chory.

— Tem lepiej, więc mi pan wydasz to pismo to natychmiast!

— A ja wtedy zostanę bez niczego i pan mnie spokojnie wtrącisz do więzienia.

W oczach hrabiego płonęły iskry gniewu i nienawiści.

— Więc pan nie chcesz wydać pisma? — syknął przez zaciśnięte wargi.

— Ani mi się śni!

— Czy to pańskie ostatnie słowo?

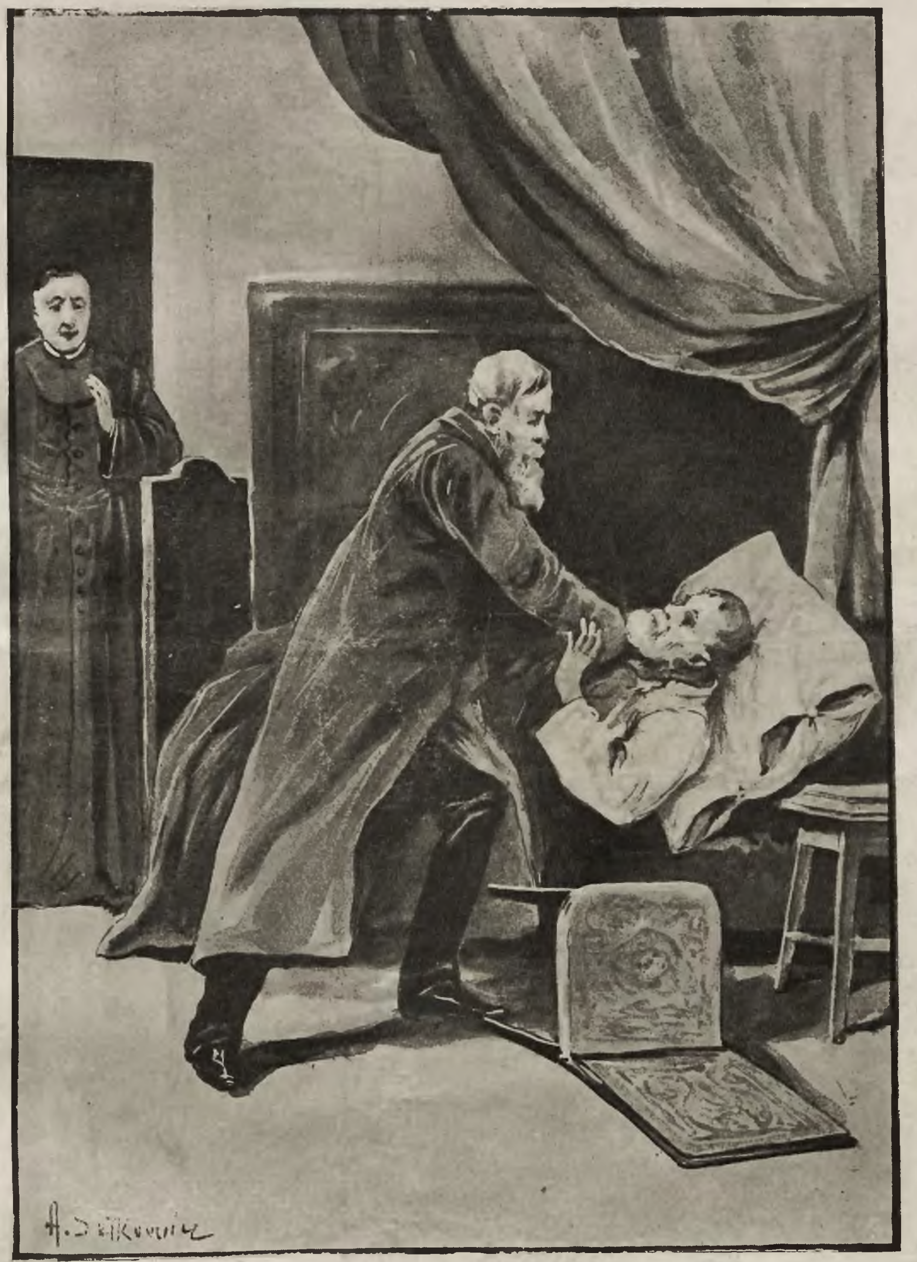
— W tych warunkach — ostatnie!

Hrabia wyprostował się. Na czole osiadła mu groźna chmura. Przyszedł do Hohlfelda ze stanowczym zamiarem wydobycia pisma, które było dlań wyrokiem śmierci w ręku obcych ludzi — a postanowił je wydobyć za każdą cenę, choćby nawet za cenę nowej zbrodni, która miała ukoronować szereg zbrodni poprzednich.

— A więc giń, psie podły! — ryknął, rzucił się na chorego i począł go dusić.

Wiedział on, że ten człowiek mógł go zgubić. Myślał więc, że najlepiej będzie, jeżeli go zdusi i w ten sposób zamknie mu na zawsze język.

Chory stawiał zaledwie słaby opór, chwil parę jeszcze a byłby ducha wyzionął, gdyby nie stało się coś dziwnego. Hrabia uczuł, że go ktoś chwycił za kołnierz i odrzucił od łóżka. Był to proboszcz, silny, krzepki, w średnim wieku mężczyzna, który nadszedł właśnie w samą porę, że mógł jeszcze przeszkodzić zbrodni i dostojnemu mordercy wydrzeć z rąk ofiarę.



...— Więc giń psie podły! — ryknął hrabia, rzucił się na chorego i począł go dusić...

Hrabia Mironeau, ujrzawszy przed sobą księdza, w tej chwili zoryentował się w sytuacyi i uznał, że w tym wypadku przegrał. Rzucił więc wściekły wzrok na swojego dawnego sprzymierzeńca, którego uczynił zbrodniarzem a teraz zamordować usiłował, zaklął głucho i wziąwszy szybko kapelusz, wypadł z pokoju.

XII.

I odpuść nam nasze winy...

Proboszcz pozwolił uciec nieznanemu zbrodniarzowi; jak sądził, musiał on mieć przy sobie broń, mógłby go więc łatwo zabić. Ponadto pościg za nim w pustej, gęstwinami leśnemi pokrytej równinie, nie przedstawiał najmniejszych szans powodzenia.

— Nie wymknie on się jednak z rąk sprawiedliwości i wcześniej czy później z pewnością dosięgnie go karząca Nemezis.

Tak rzekł pobożny proboszcz i zwrócił się do chorego, który tymczasem począł już słabo oddychać. Podał mu więc limoniady, co go tak orzeźwiło, że otworzył oczy.

Radość zajaśniała na jego twarzy, kiedy ujrzał proboszcza, którego znał bardzo dobrze, przy sobie. Ale upłynęło kilka minut, zanim mógł zebrać tyle sił, by módz mówić.

— Czy ksiądz proboszcz poznał tego łotra? — wyszeptał.

— Niestety nie, mój kochany. Nie znałem go. A pan?

— Ja — znam go — niestety zbyt dobrze.

— Któż to więc był?

Hohlfeld nie odpowiedział odrazu. Wiedział on dobrze, że, wymieniając nazwisko hrabiego Mironeau, zmusi prawie proboszcza do pytania, jaki związek ma ta cała historya, a w takim razie nie pozostanie mu nic innego, jak wyznać otwarcie całą prawdę.

W sercu jego toczył się więc zacięty bój między sumieniem a miłością własną i podczas gdy pierwsze kazało mu uczynić wyznanie wszystkiego, druga usiłowała mu zamknąć usta fałszywym wstydem.

Jednak grzesznik czuł, że stoi już w obliczu śmierci, a straszliwa tajemnica wieczności, sąd boży, przed którym miał za chwilę może stanąć, sprawiły, że po krótkiem wahaniu postanowił wyznać wszystko i w ten sposób zrzucić z sumienia swego ciężar, jaki je przygniatał.

— Ten dostojny pan — rzekł po chwili — z którego rąk ty, księże proboszczu, wyrwałeś szczątki mojego życia, nie był nikim innym, tylko hrabią Mironeau.

Ksiądz przestraszył się.

— Na Rany Boskie — co pan mówi?! Hrabia Mironeau, którego nazwisko jest tak szlachetne...

— On to był, a nie kto inny; on to przyszedł tutaj, aby mnie zamordować — przerwał księdzu chory.

— Cóż go do tego skłoniło?

— Tego się ksiądz proboszcz zaraz dowie.

Po tych słowach chory wziął rękę księdza w swoją dłoń i rozpoczął spowiedź.

Zaczął od tego miejsca, gdzie skończył opowiadać pani Bernere.

Rządca Bernere był jego śmiertelnym wrogiem. Nienawidził go dlatego, ponieważ on ożenił się z dziewczyną przezeń ukochaną. Nienawiść ta pchnęła go do zbrodni, bo gdy hrabia Mironeau namówił go, ażeby zamordował jego brata, milionera, powracającego właśnie z Ameryki, usłuchał, zamordował go, a w sądzie wskazał rządcę Bernere i jego żonę jako morderców.

— Między mną a hrabią — opowiadał dalej chory — zawarty został formalny układ na piśmie. Ponieważ pismo to znajduje się dotychczas w moich rękach, przyszedł więc do mnie, abym mu je oddał, czego ja jednak nie uczyniłem. Chcąc więc usunąć z powierzchni ziemi jedynego człowieka, który wie o jego zbrodni, rzucił się na mnie, aby mnie zabić.

— Co za otchłań zbrodni! — zawołał ksiądz przestraszony.

— Tak jest, czarna to dusza ten hrabia Mironeau. Przezeń to ja stałem się tem, czem dziś jestem: nędzarzem, który ma na sumieniu dwa życia ludzkie! Bo chociaż nienawidziłem rządcę Bernere i jego żonę z całej duszy, to jednak nigdy nie byłbym wymyślił takiej szatańskiej zemsty, gdyby nie hrabia Mironeau, który mi ją podał, nigdy nie byłbym upadł tak nisko; on to był, który obietnicą świetnej nagrody obudził we mnie zwierzę i uczynił mnie zdolnym do zamordowania ze zimną krwią człowieka i do zwalenia winy na dwoje niewinnych ludzi. Rządca Bernere zginął na szafocie, żona jego gnije w kryminale. C. d. n.



Wystawa kwiatów we Lwowie: Wystawa złocieni. Fot. E. Trzemeski. Lwów.

Ze strejku kolejowego w Moskwie.

Najbardziej w skutki obfitującą fazą rewolucyi rosyjskiej był strejk kolejowy, jaki tam wybuchł w drugiej połowie października. Pisaliśmy już w poprzednim numerze, jakie znaczenie miał ten strejk i o ile przyczynił się do złamania oporu rządu carskiego. Tutaj powiemy słów kilka o samym strejku i strejkujących.

Co szczególnie uderzało każdego obserwującego ruch rewolucyjny w Rosyi, to nadzwyczajna, prawie nieprawdopodobna solidarność robotników i ich posłuszeństwo komitetom rewolucyjnym. Na hasło, wydane w Moskwie, stanęły w jednym dniu wszystkie pociągi na całej przestrzeni olbrzymiego imperyum carskiego, z wyjątkiem Azyi, dokąd ruch rewolucyjny nie dotarł. Stanęły pociągi osobowe i towarowe, wszelka komunikacya została przerwaną, wyrządzając wielkim kupcom i państwu kolosalne szkody. Stało się to tak nagle i tak stanowczo, odrazu pociągło za sobą takie skutki, że strejk ten, strejk kolejowy w głównej częś i ma zasługę, że rząd nareszcie ujrzał się słabym, bezsilnym i kapitulował.

Bo też w państwie nowoczesnem przerwanie komunikacyi, stagnacya ruchu kolejowego jest czemś strasznem. Jest to jakby nagłe zaskrzepnięcie żył w żywym organiźmie, który z tej przyczyny kona i zginąć musi. Ten też strejk okazał się najniebezpieczniejszym dla caratu.

Kolejarze rosyjscy, jak można sądzić z przebiegu strejku zorganizowani znakomicie, nie poprzestali jednak na wstrzymaniu się zupełnem od pracy. W miejscowościach, gdzie czynowniczy rząd występował przeciw nim z nieubłaganą surowością, kolejarze walczyli w ten sposób, że niszczyli lokomotywy, aby w ten sposób rząd zrujnować. Tak samo postępowali w miejscowościach, gdzie wojsko miało ich zastąpić przy służbie w pociągach. Wtedy wyrywali szyny, niszczyli tor, przekonani, że choć sami przez jakiś czas może będą mrzeć głodem, to jednak tem samem rujnują znienawidzony rząd. I nie zawiedli się w rachubach — zwyciężyli.

Zamieszczona w dzisiejszym numerze rycina przedstawia jeden epizod ze strejku kolejarzy w Moskwie. Usłyszawszy, że wojsko ma objąć służbę w pociągu i podjąć w ten sposób ruch kolejowy między Moskwą a Petersburgiem, zgromadzili się kolejarze na jednym z dworców, gdzie stały dwa pociągi i chcąc niedopuścić do podjęcia ruchu, przeprowadzili jeden pociąg w ten sposób, że zwrócony był lokomotywą do lokomotywy drugiego i puścili na siebie pełną parą obydwa pociągi. Po chwili dał się słyszeć straszny huk, dym zasłonił tor, a gdy wiatr nareszcie dym rozwiał, na miejscu zderzenia się lokomotyw widać było jeno drzazgi i połamaną, przepaloną blachę. W ten sposób udaremnili podjęcie ruchu.

Wystawa kwiatów we Lwowie.

Są ludzie, którzy się kochają w kwiatach. Widok pięknych okazów roślin, krzewów, widok barwnych odmian kwiatów sprawia im prawdziwą rozkosz. Ale nie trzeba być takim zapalonym ich miłośnikiem, wystarczy mieć średnio wyrobione poczucie i zamiłowanie piękna, aby doznać jak najsilniejszych wrażeń przy oglądaniu wystawy kwiatów, urządzonej w zeszłym tygodniu we Lwowie przez firmę ogrodniczą „F. W. Starcka synowie“.

Firma ta, jedna z największych we Lwowie, zostająca pod kierownictwem pp. Fryderyka i Karola Starcków, za granicą wykształconych ogrodników, ma swój zakład przy ulicy Zborowskiej. Zakład to na prawdziwie europejskiej postawiony stopie. Obejmuje obszar z górą pięciu morgów, na których mieści się kilkanaście szklarni, urządzonych według wszelkich najnowszych wymogów. — Szklarnie te ogrzewa jedna wspólna kotłownia, skąd rury rozprowadzają ciepłą wodę we wszystkich kierunkach.

W dziesięciu takich szklarniach mieści się wystawa kwiatów, o której mówimy. Urządzono ją z wielkim smakiem i z widocznem zamiłowaniem fachu. Najwspanialej przedstawia się kolekcya złocieni. Kwiaty te, modne obecnie i tak powszechnie stosowane, doprowadziła sztuczna hodowla do niebywałego rozwoju. Podziwia się w nich nie tylko rozmaitość ogromną kształtów i wielkości, ale przedewszystkiem ich ubarwienie o przeróżnych a bardzo delikatnych odcieniach. Okazy zaś, które można oglądać na wystawie pp. Starcków, należą bezsprzecznie do najprzedniejszych. Ale nie tylko złocienie, znane też pod nazwą chryzantemów, wystawili pp. Starckowie. Prześliczne są tam także cyklameny. Są to kwiaty drobne, ale bardzo miłe, bardzo piękne. Przeważnie różowe, o rozmaitych odcieniach, od ciemnych aż do bardzo jasnych. Równie dodatnie wrażenie sprawia zbiór goździków, o pełnych, dużych kwiatach i niezrównanej woni. Najpiękniejsze z pomiędzy nich są białe.

Zdawaćby się mogło, że dziesięć szklarni, zapełnionych kwiatami, choćby bardzo pięknymi, to prze-

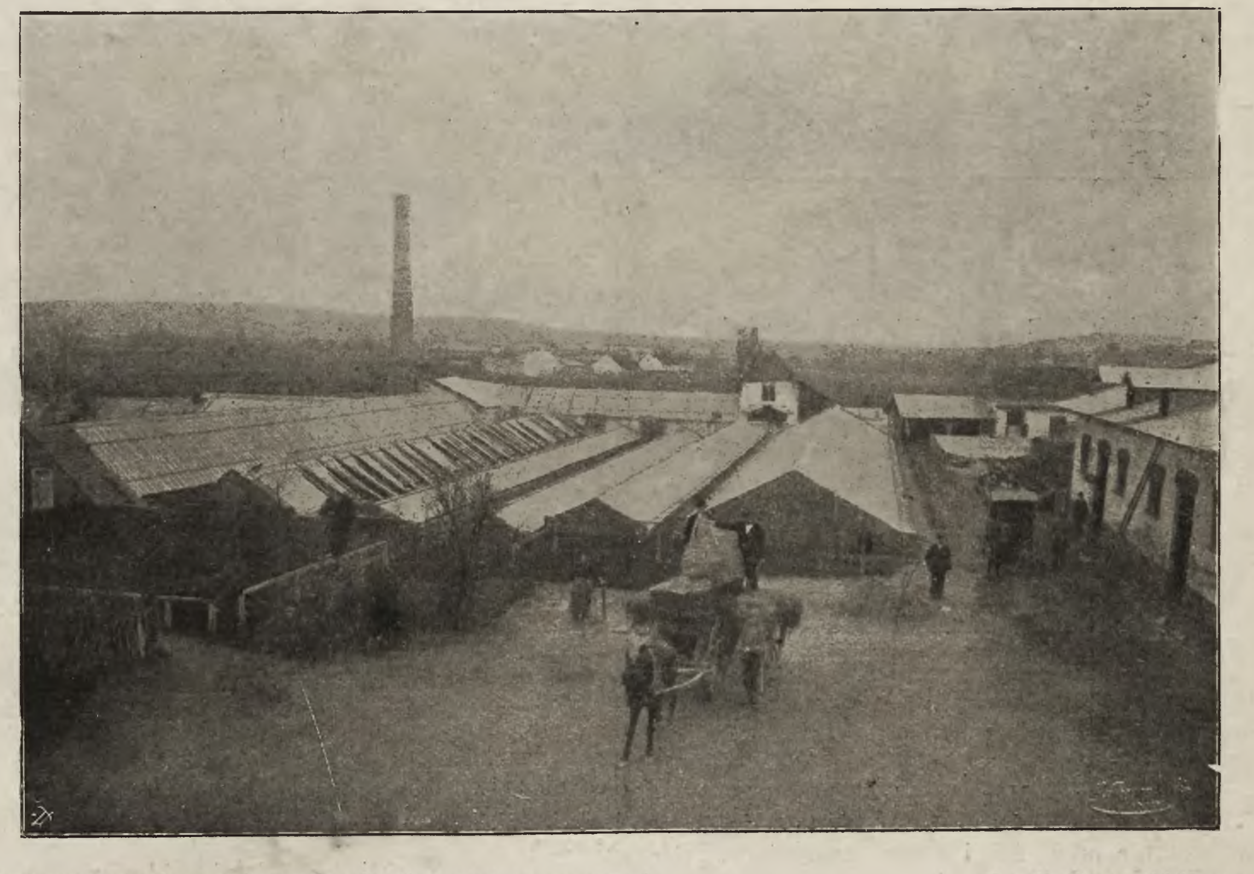


Ze strejku kolejarzy w Moskwie: Strejkujący kolejarze, chcąc nie dopuścić do podjęcia ruchu kolejowego, puszczają na jednym z dworców w Moskwie dwie lokomotywy na siebie i niszczą je doszczętnie.

cież coś strasznie monotonnego, wprost nudnego. A jednak urządzający tę wystawę pp. Starckowie umieli tak ugrupować okazy swego zakładu, z takim smakiem poustawiać je na tle głębokiej zieleni palm, filodendronów, wawrzynów, że każda z sal przedstawia odrębny, a bardzo piękny widok, a całość zaś wystawy sprawia wrażenie jak najdokładniejsze.

Nic dziwnego tedy, że wystawę tę zwiedzano bardzo licznie i że wszyscy opuszczali ją z szczerym zachwytem, nie szczędząc dzielnym jej twórcom wyrazów prawdziwego uznania.

W dzisiejszym numerze podajemy zdjęcie fotograficzne z szklarni, zawierającej zbiór złocieni, oraz ogólny widok zakładu ogrodniczego pp. Starcków.



Wystawa kwiatów we Lwowie: Ogólny widok oranżeryi. Fot. E. Trzemeski, Lwów.

Prześladowanie rewolucyonistów w Rosyi.

Zdawało się do niedawna, że carat jest tak silny i potężny, iż nic go nawet wstrząsnąć, a nie dopiero zwalić, nie potrafi. Mniemanie to powstać musiało wśród ludności, która jęczała pod knutem, nie śmiejąc nawet myśleć o jakiejkolwiek idei bardziej postępowej, gdyż za samą wolnomyślność groził w Rosyi Sybir, albo długoletnie roboty w katorgach, tembardziej, że w ludność tę wpajano już z katedry szkolnej i z kazalnicy kościelnej od dzieciństwa, że jedyną, doskonałą formą rządu jest samodzierżawie, oparte na prawosławiu. Historya zadała kłam temu twierdzeniu. Bo oto w zeszłym roku carat zadrżał, zachwiał się i nareszcie po paru miesiącach szalonej walki — runął.

Któż to zrobił? Czy zjawił się może jaki Napoleon nowoczesny, który geniuszem wzbił się nad poziom ogólny, całą Rosyę za sobą pociągnął i podniósł rękę na uświęcony tradycyą, ociekły krwią tron cara-samodzierżcy, aby go zmusić do ustępstw, aby mu wydrzeć władzę i oddać ją w ręce ludowi?

Nie. To zrobiła garść ludzi, pełnych energii i poświęcenia, ludzi, którzy w ciemny naród rosyjski wnieśli pochodnię rewolucyi i mimo niebezpieczeństw, jakie im ze wszystkich stron groziły, pociągnęli cały naród za sobą do walki o najświętsze prawa człowieka, o wolność. Zrobiła to garść ludzi, których z początku nazywano obłąkanymi fantastami, wierzącymi w cuda i porywającymi się z motyką na słońce. A jednak byli to bohaterzy, tytany nowoczesne, choć świat ich inaczej nazywał. Świat cały im niedowierzał, bo ich nie znał, nie wiedział kto to, jak się nazywają.

A byli to po większej części ludzie młodzi, idealiści, nieznani z nazwiska, pracujący w mroku i w mroku się ukrywający. Działalność ich nazywano „podziemną“. I rzeczywiście była to podziemna praca, krecia; rewolucyoniści pracowali pod ziemią i w krótkim czasie cała Rosya zadrżała, jakby wulkan pod nią rozgorzał. Coraz częściej wybuchały rozruchy, to tu, to ówdzie lała się krew, robotnicy i lud rzucali się na znienawidzony rząd, coraz częściej ginęli od bomb i pistoletów najwyżsi dostojnicy i obrońcy caratu — to podziemna Rosya dawała znak, że żyje.

Komitety rewolucyjne, te główne sprężyny rewolucyi, ukrywające się w piwnicach i norach i to pod bokiem samego cara nawet w Petersburgu, rozwijały coraz gorliwszą działalność, siejąc ziarno rewolucyi wśród coraz szerszych warstw, aż nareszcie dokonały tego, czego się świat nie spodziewał, dokonali zupełnego przewrotu — wywalczyli konstytucyę!

Rząd carski spostrzegł się zawczasu, co mu grozi ze strony rewolucyonistów. Prześladował ich też, wyłapywał, więził, wysyłał na Sybir i karał śmiercią. Ale nic to nie pomogło. Krew męczenników rewolucyi była nasieniem milionów rewolucyonistów. Robotnicy, zresztą i lud rewolucyjny czuwali nad przywódcami; musiano ich ukrywać przed policyą i niejednokrotnie najwybitniejszym życie ratowano. Ale policya też nie spała. Przez szpiegów dowiadywała się o miejscach potajemnych narad rewolucyonistów, wpadała tam niespodziewanie i więziła. Ale zazwyczaj aresztowała konających, bo rewolucyoniści przyjmowali ją gradem kul i nie dali się brać bez oporu.

Zamieszczona obok ilustracya przedstawia chwilę, kiedy policya wpada do mieszkania robotnika, w którem się odbywa narada komitetu rewolucyjnego w Petersburgu.

Atleci w Krakowie.

Rzadko kiedy spotykamy dzisiaj ludzi, którzyby nam imponowali siłą i dobrą budową ciała. Dzisiaj cała ludzkość jest już tak scherlała i słaba, że jeżeli się gdzieś znajdzie mężczyzna silny, zbudowany choć trochę na wzór starożytnego Herkulesa, to ogląda się go już jako coś niezwykłego.

Od kilku dni odbywają się w cyrku „Colosseum“ w Krakowie przy placu Wielopole zapasy atletów, które dzień w dzień ściągają do cyrku setki ludzi, żądnych widzenia siłaczy, z których każdy imponuje doskonałą budową ciała. Z pomiędzy 14 atletów, jacy stanęli do zawodów o zdobycie nagrody miasta Krakowa, największą popularnością cieszy się p. Stanisław Cyganiewicz. Jest to rodowity Krakowianin; tutaj kończył szkoły średnie, tu zdał maturę w gimnazyum św. Jacka, a przyrodzonemi zaletami duszy zdołał sobie, w gimnazyum jeszcze będąc, pozyskać wśród młodzieży zwłaszcza, ogromną sympatyę. Już jako młody chłopiec, zwracał p. Cyganiewicz ogólną uwagę, jako doskonale zbudowany mężczyzna, przepyszny materyał na atletę. Wiedział o tem p. Cyganiewicz i ciągłymi ćwiczeniami hartował ciało, wyrabiał sobie muskuły, gotując się do zawodu, który miał mu przynieść majątek i sławę. Arkana sztuki

(Dalszy ciąg artykułu na str. 15).



Prześladowanie rewolucyonistów w Rosyi: Policya wpada do izby robotniczej, w której się odbywa tajemna narada komitetu rewolucyjnego w Petersburgu.



Zygzakiem.

Mądry Turek i głupia Europa czyli bawimy się we flotę. — Obrazek z doli c. k. austryacko-galicyjskich urzędników.

Dzienniki niemieckie przepełnione są szpaltowymi artykułami o zamierzonej demonstracyi (taki już teraz czas) połączonej floty mocarstw Europy pod Konstantynopolem, z tego powodu, że Turcya nie chce poprostu dać żadnych reform i pod tym względem od szeregu lat wodzi za nos dumną Europę. Strach, na co się zanosi... Połączone floty wjadą całą siłą pary i w pełnym rynsztunku wojennym do „Złotego rogu“, wywieszą flagi, dadzą ognia na wiwat, połączone muzyki odegrają na przemiany wszystkie hymny, które entuzyazm dla władców „wyrywa“ z piersi wiernych poddanych, poczem wysłannicy sułtana zapewnią uroczyście „połączonych“ admirałów, że od nowego roku połowę żandarmów w Macedonii będą stanowić chrześcianie, oraz, że bezkarne mordowanie Armeńczyków zostanie uroczyście i surowo zabronione. „Połączeni“ admirałowie przyjmą te zapewnienia do wiadomości, generalny mówca nazwie ten dzień pamiętnym w dziejach, poczem przy dźwiękach hymnu tureckiego udadzą się oficerowie na zwiedzenie ogrodów sułtańskich, gdzie zostaną poczęstowani „figami“. Wolno im także będzie przespacerować się w pobliżu haremu i przypatrzeć wysoko wiszącym... winogronom.

Blokada haremu nie jest objęta programem zwycięskiej wyprawy. Ba, gdyby to.. Wówczas niezawodnie demonstracya wypadłaby wspaniałej ze względu na wielkie zastępy współczujących z Macedonią ochotników z Europy.

Jeżeli ta demonstracya ma olbrzymie znaczenie dla Europy, choćby dlatego, że jest czem zapełniać szpalty dzienników, to wprost niesłychanie doniosłą jest dla naszej c. k. Ojczyzny, której obywatele oddawna już tęsknią za Macedonią. Kto wie, czy nasza ukochana Austrya przy tej sposobności znowu przypadkiem nie urwie jakiego terytoryum, w nagrodę za liczne krzywdy, wyrządzone w licznych wojnach tej naszej poczciwej, dobrodusznej i zawsze pojednawczo usposobionej c. k. cioci. My austryacy, jako członkowie państwa chrześciańskiego, wychowani w pięknych tradycyach, służąc w szeregach, zachowujemy zawsze chrześciańskie uczucia i cnoty. Tem się tłómaczą zwycięstwa brutalnej siły nad naszemi zastępami... Bo my tak: dostaniemy w bitwie w gębę z jednej strony, nadstawiamy drugą, albowiem tak każe Pismo święte. Bili Prusacy w roku 1866 do naszych kulami z ołowiu, to nasi strzelali prochem albo rzucali chlebami, znowu w myśl ewangelii. Gdy jeszcze prawie wszyscy wodzowie prócz tego mieli w pamięci zasadę: „kto mędrszy, ten ustąpi“, nie dziw, że żadna armia nie zdołała nigdy zwyciężyć naszego c. k. lojalnego ducha, który żyje, żyć będzie i t. d. i t. d, objawiając swoje istnienie nietylko w instytucyi prokuratorów państwa, ale także c. k. urzędu podatkowego i starostów galicyjskich.

Ale do rzeczy. Otóż ponieważ wiadomo jest z góry, że podczas wyprawy na Turcyę do żadnej bitwy nie przyjdzie, że zatem zwycięstwo jest pewne, dyplomacya austryacka postanowiła skorzystać ze sposobności i w ten sposób powiększyć o jedno kilka podobnych „zwycięstw“ w dziejach przez lojalnych i serdecznie czujących kronikarzy uwidocznionych. Telegramy donoszą, że w porcie wojennym(?!) w Pola wre gorączkowa czynność. Austrya szykuje eskadrę, która będzie się składać ze wszystkich dwóch pancerników naszej potężnej c. k. floty. Nowe maszyny okrętowe poddano gruntownej reperacyi, okręty na nowo się lakieruje, osobne pociągi zwożą broń i amunicyę, ponieważ zaś na tych pancernikach niema odpowiednich mieszkań dla admirałów i ich rodzin, przeto na pokładach odbywa się „przebudówka“ wedle planów sporządzonych przez specyalne komisye. Jak donoszą, zaopatrzenie floty będzie wzorowe, aby się zaś pp. oficerom nie nudziło, wolno im będzie zabrać także kilka kobiet... Na jednym z pokładów urządzony będzie plac do tennisa. Aby choć w miniaturze na tych statkach pulsowało takie samo życie jak w ojczyźnie, przydani zostaną do wyprawy: jeden stójkowy ze szkoły dra Flattau'a, jeden prokurator, jeden egzekutor podatkowy, weterynarz i akuszerka. Służbę lekarza floty, jako specyalista, obejmie dr. Emil Münz.

Największą atoli troską jest, jak podają telegramy, kwestya zaopatrzenia wszystkich dwóch okrętów austryackich w międzynarodowe złoto, okazało się bowiem, że za austryackie 20-koronówki, nawet w podłej Turcyi niczego nabyć nie można, ponieważ wartość złota w tej monecie równa jest co do treści, wojennej sławie i wewnętrznej harmonii naszej ck. Ojczyzny. Do Macedonii potrzeba prawdziwego złota i dlatego odbywają się obecnie zakupy funtów szterlingów i napoleondorów. O ileby nie dało się kupić dostatecznej ilości tej monety za nasze korony, flota nasza, złożona ze wszystkich dwóch pancerników, będzie musiała zrezygnować z wyprawy.

Godzi się jeszcze wspomnieć, że połączone mocarstwa uchwaliły, z powodu, że wszelka bitwa jest wykluczona, powierzyć przewodnictwo wyprawy flocie austryackiej. Jestto nowe „zwycięstwo“ dyplomatyczne hr. Gołuchowskiego, świadczące, jak wielki respekt otacza Austryę i jej flotę podczas pokoju. Austrya znowu, odwdzięczając się za to uznanie, stara się o estetyczno-harmonijne przeprowadzenie awantury. Ponieważ rzecz idzie o Macedonię, przywódcą austryackiej floty będzie p. Ripper, znający podobno znakomicie stosunki w tej krainie.

Koszta poniosą wierni i lojalni poddani z ochotą bo z dumą, że wspólna ojczyzna tak wielkie ma znaczenie na świecie... Dla takich celów warto zabawić się we flotę, choćby i z krzywdą najmniejszych i najbiedniejszych... Pozostanie na zawsze dzieło: temat do... satyry.

* * *

Podczas ubiegłej kadencyi sądu przysięgłych w Krakowie stawał przed sądem pomocnik kancelaryjny z Radłowa pod zarzutem nadużycia władzy urzędowej. Sprawa sama powszednia i zwykła. Pół-egzystencya, jakiś niby urzędnik austryacki, z pensyą naprzód 50 koron, potem 80 miesięcznie, ojciec rodziny, stary już i osiwiały w służbie dobroczynnego rządu, bez widoków na przyszłość, przeciążony jedenastogodzinną pracą na dobę... pracą, przerastającą znacznie jego uzdolnienie, wynagrodzenie, poczucie odpowiedzialności. Dał się uwieść do czynu nastręczoną mu sposobnością, party do złego beznadziejnością położenia i nędzą.

Atoli nie sama sprawa jest powodem smutnych refleksyi, jakie nasunęły się sędziom i widzom, a z pewnością nawet i oskarżycielowi publicznemu. Jako świadkowie powołani zostali do rozprawy dwaj adjunkci sądowi z Radłowa. Jeden z nich człowiek jeszcze młody, ale z widocznemi śladami przedwczesnego zestarzenia, drugi już starszy, o twarzy znużonej, głowie przyprószonej siwizną... Obaj prowadzili kolejno oddział karny w sądzie powiatowym w Radłowie. Przeszło 1200 rozpraw rocznie, do każdej pisemny protokół z kilku, nieraz kilkunastu świadkami, w każdej pisemny wyrok lub osąd, nie licząc uchwał w toku postępowania, wezwań do kary i t. d. Prócz tego przeszło 600 śledztw o zbrodnie, a więc znowu słuchania świadków, nieraz bardzo obszerne... Do prowadzenia takiej agendy przeznaczony jest jeden sędzia i jeden pisarz!

Więcej już chyba mówić nie potrzeba... Ludzie z uniwersyteckiem wykształceniem, którzy 16—18 lat życia spędzili w ciężkiej pracy szkolnej, którym kazano na uniwersytecie studyować piękne dzieje prawodawstwa ludzkości, nawet filozofię i etykę, ludzie, którzy szli w życie z wiarą w czyn i posłannictwo swoje, przemienieni w ręku systemu austryackiego w machinalne narzędzia do załatwiania „kawałków“. Rzuceni do takiego Radłowa, półazyatyckiej dziury, pozbawieni wszystkich najprymitywniejszych potrzeb kulturnego życia, tłuką sprawiedliwość przez załatwianie numerów — bo nie wolno mieć zaległości... Nie wolno... Sędzia, któryby chciał sumiennie sprawować swoje obowiązki, któryby chciał dokładnie badać i rozważać kwestye ludzkiej czci i wolności, naraziłby się na niepochlebne kwalifikacye, na zarzut, że nie jost zwinnym robotnikiem... Czy można się przeto dziwić, że przy takich stosunkach wymiar sprawiedliwości w Galicyi tyle, tyle ma braków!... Zeznawali „sędziowie“ z Radłowa o tych stosunkach... Dziesięć i więcej godzin pracy dziennie, brak mieszkań, drożyzna, wprost nędza u tych, którzy mają dzieci i muszą je posyłać do szkoły. Jeden z tych sędziów prosi o jaknajprędsze przesłuchanie, bo robota go pędzi, bo na dzień następny ma wyznaczone 70 rozpraw! Drugi, jakby przelękniony, widokiem tylu ludzi odrazu, jakby wyrwany z letargu, w którym duch jego śpi w Radłowie, podobny do oślepłego konia, wydobytego z głębin kopalni na światło — daje nieśmiałe odpowiedzi, a o ciężkiej, nadmiernej pracy, o trudnych warunkach bytu, o jakiejś norze pod strzechą za 560 K rocznie, nazywającej się jego mieszkaniem, opowiada spokojnie, z rezygnacyą, jakby o nieubłaganem przeznaczeniu, którego już żadna moc nie przemieni!... A przecież i on marzył, dążył niegdyś wierzył, chciał żyć wedle tego prawa, które zdobył własną uczciwą pracą...

Posępne milczenie grozy panowało na sali sądowej, a w każdym uczciwym człowieku podnosił się w piersi głos bezgranicznego oburzenia na bezmiar krzywdy i wyzysku, na nędzny system, w którym pasożytne instytucye fałszywych ambicyi mocarstwowych przywalają i niszczą moralnie i materyalnie prawdziwą inteligencyę społeczeństwa.

Budziło się podziwienie dla zaparcia się i bohaterstwa niedoli tych białych murzynów, podziwienie, że nie odezwie się w nich nigdy głos protestu, wyrwany wprost rozpaczą i beznadziejnością położenia.

Przyprowadziłbym za łyse łby do tej sali wszystkich państwowych synekurzystów, pokazałbym ministrowi sprawiedliwości smutne i biedne egzystencye prowincyonalnych sędziów i zapytałbym tych panów, co myślą o takim systemie i takim rządzie!... Rzuciłbym tylko na miesiąc do takiego Radłowa galicyjskich serwilistów, stojących na czele hierarchii sprawiedliwości i wytarłbym im służalczą gębę ich własnemi „berichtami“, że w galicyjskiem sądownictwie wszystko w porządku, że praca jest normalna, że przeciążenia niema, że powiększenia sił sędziowskich nie potrzeba...

Podobnych stosunków niema w żadnej prowincyi austryackiej... Ale też tam są na czele inni ludzie... Gdzieindziej jest poczucie obowiązku i ludzkości względem podwładnych, jest dbałość o dobro ogółu a nie o własne korzyści, polegające na uznaniu z „góry“ za serwilizm i system oszczędności na korzyść skarbu... wojskowego.

Jakie to wszystko smutne i upokarzające. A potem mamy pretensyę, aby się z nami poważnie liczono, aby społeczeństwo, w którem wybitne stanowiska zajmują różne Brasony, Flatau'y, Korytowscy — uważano za mądre i kulturne...

Kiedyż nareszcie zawrze powszechna walka wszystkich o podeptane prawa i bunt przeciw głupocie i przewrotności? *Vide.*

Biedak.

— Niech dyabli porwą takie szczęście! Gdy już jestem żonaty, pada na mój los główna wygrana!...

Na czasie.

Rozbójnik (ograbiwszy w lesie podróżnego, woła do swego towarzysza): Podaj-no mi tam z worka aparat Röntgena — nie mogę przy nim znaleść pieniędzy...

Złośliwa.

Pani: Ja pani mówię: ostrożność nigdy nie zawadzi; ja, jeśli się z mężem kłócę, zawsze wysyłam dzieci na dwór...

Sąsiadka: To bardzo ładnie z pani strony, ale nie wiem, czy to tak zdrowo dla dzieci, gdy muszą cały dzień biegać po ulicy...

Na poczcie.

Panna: Czy niema listu poste-restante X. 100?

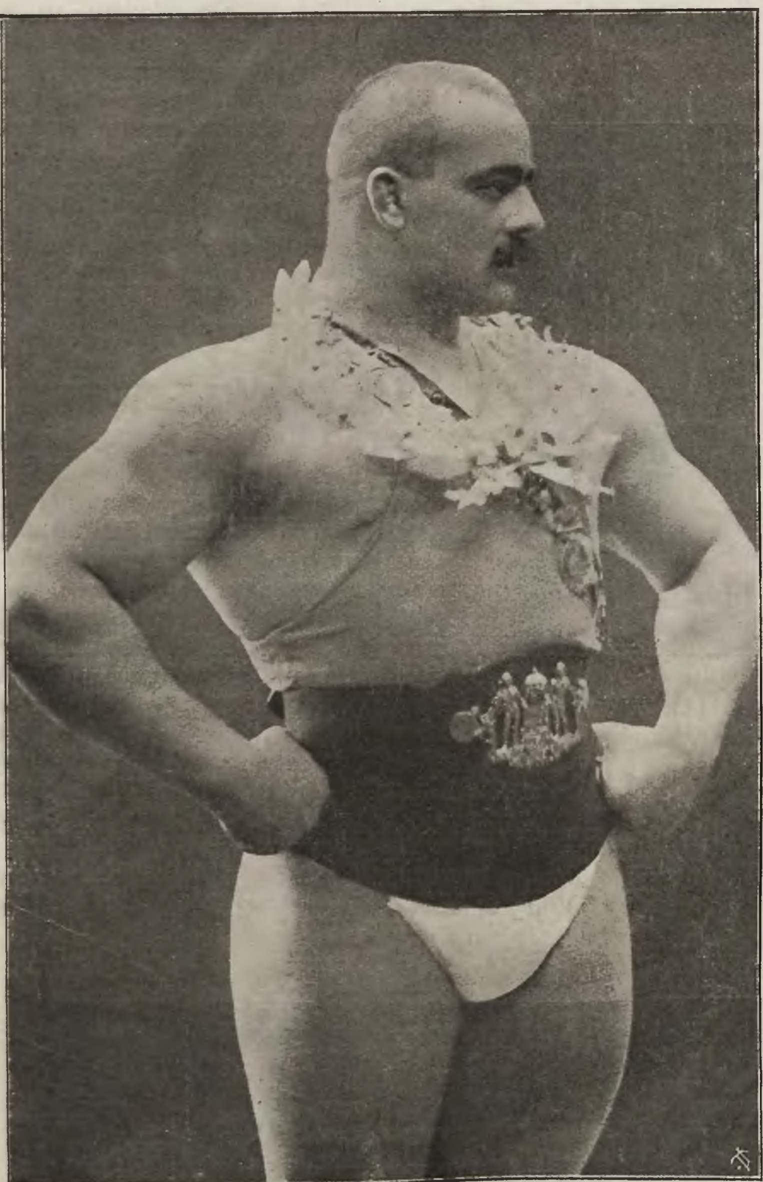
Urzędnik: Takiego niema, ale jest X. X. 100.

Panna: To dla mnie, bo mój narzeczony trochę się jąka...

Zawsze sportowiec.

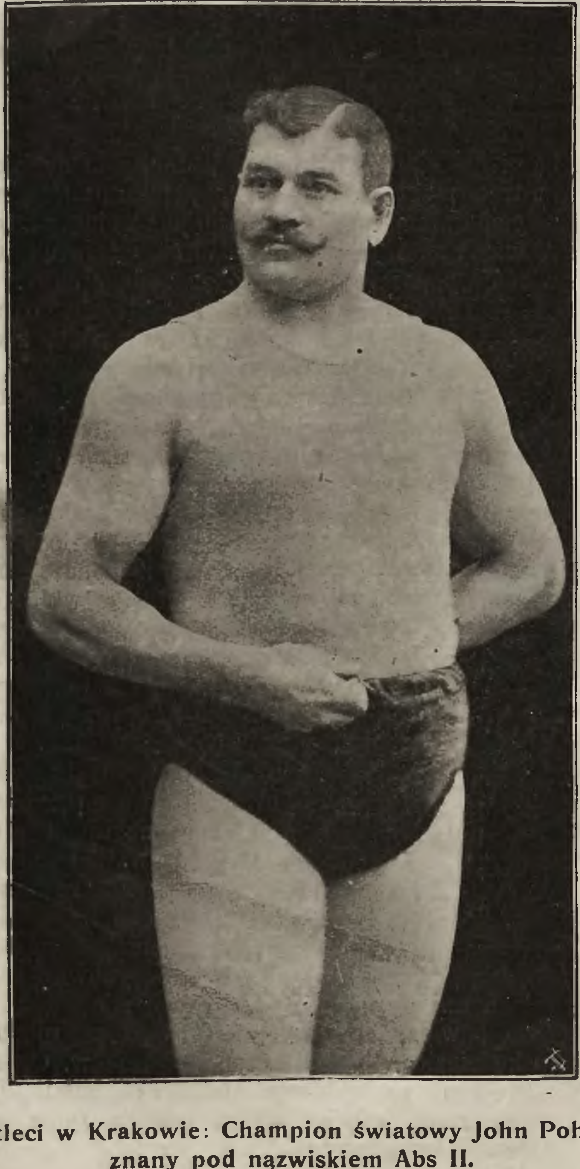
Pani domu (w salonie): Jakże się panu podobała nasza gra na fortepianie na cztery ręce, panie poruczniku?

Porucznik: Znakomicie! Zupełnie jak na wyścigach! Zawsze jedna z pań była trochę naprzód...



Atleci w Krakowie: Stanisław Cyganiewicz, champion światowy.

zapaśniczej poznał u słynnego siłacza Pytlasińskiego, który jako atleta znany był w całym świecie. Szkołę posiada więc p. Cyganiewicz znakomitą, a ponieważ co do siły przewyższa może wszystkich atletów świata, więc też zbiera coraz więcej laurów. pokonując niezwyciężonych nawet dotąd atletów,



Atleci w Krakowie: Champion światowy John Pohl, znany pod nązwiskiem Abs II.

Jako atleta występuje p. Cyganiewicz pod pseudonimem „Zbyszko“. Młody, liczy bowiem lat 25, p. Cyganiewicz ma wielką przyszłość przed sobą.

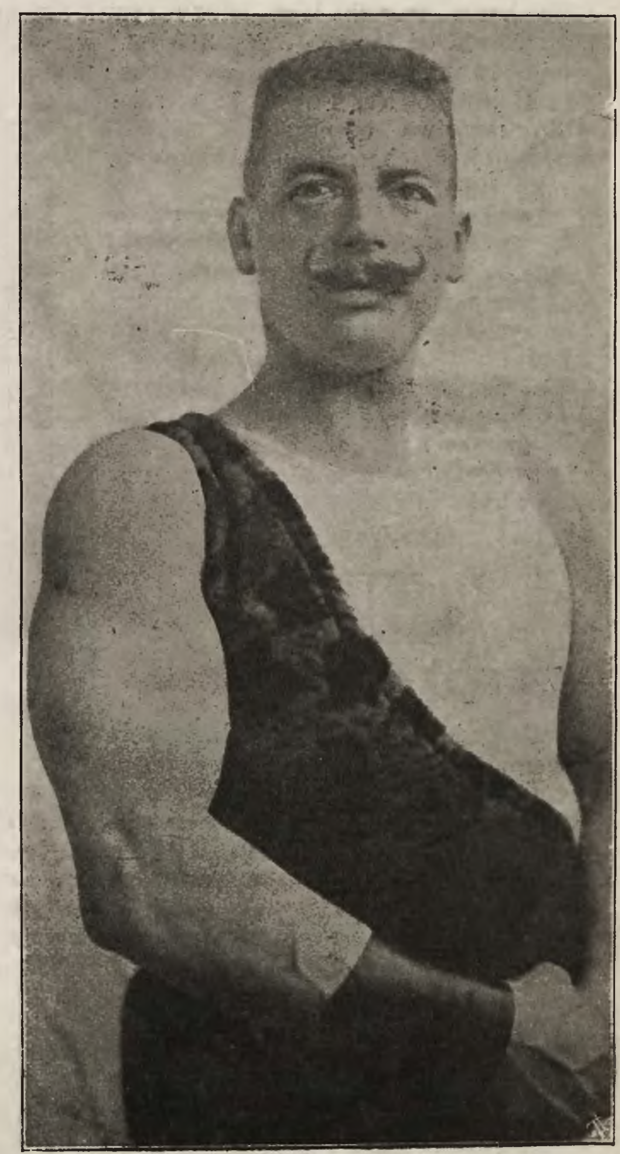
Do walki konkurencyjnej o nagrodę miasta Krakowa t. j. o 2000 koron, dyplom i złoty medal, zgłosiło się prócz p. Cyganiewicza wielu zagranicznych atletów, między nimi atleci tej miary, co Cristensen Duńczyk, Binning Amerykanin, Abs II. champion światowy za rok 1904 i inni. P. Cyganiewicz pobił już 8 atletów, między nimi i amerykanina Binninga, który był jego bodaj czy nie największym przeciwnikiem. Prawdopodobnie więc nagroda miasta Krakowa przypadnie w udziale p. Cyganiewiczowi.

Cyganiewicz-Zbyszko znany jest już dzisiaj jako atleta pierwszorzędny w całym świecie. Otrzymał on nagrody w Bukareszcie, Wiedniu, Budapeszcie, dwie nagrody w walce o mistrzostwo światowe w Paryżu w Casino de Paris. Nagrody te są najlepszym dowodem, że p. Cyganiewicz nie cofa się przed żadnym przeciwnikiem. Ponadto jest p. Cyganiewicz właścicielem championskiego pasa z Helsingforsu, licznych złotych i srebrnych medali i srebrnych wieńców laurowych.

W ostatnich dniach zgłosił się jeszcze do zapasów p. Piotr Jankowski, warszawiak. Jest to atleta, podobny raczej do olbrzyma, aniżeli do człowieka. Wysoki na dwa metry, waży p. Jankowski 338 funtów. Zbudowany jest znakomicie. P. Jankowski liczy obecnie 42 lat. Zawód zapaśniczy rozpoczął w roku 1889. Dzisiaj posiada już przeszło 30 nagród. W międzynarodowym konkursie zapaśniczym w Petersburgu wziął między 48 pierwszorzędnymi atletami 3 nagrodę. Jest to najgroźniejszy przeciwnik p. Cyganiewicza w walce o nagrodę Krakowa.



Atleci w Krakowie: Amerykański atleta John Binning.



Atleci w Krakowie: P. Specht, atleta wiedeński.

Amerykanin Binning, którego Cyganiewicz nareszcie zwyciężył, jest również atletą pierwszorzędnym. Przez kilka dni, przed przybyciem p. Jankowskiego, był p. Binning jedynym rywalem p. Cyganiewicza, z którym tenże poważnie liczyć się musiał. Młody, doskonale zbudowany, odznacza się p. Binning olbrzymią siłą.

Ostatnim wreszcie, który wyzwał p. Cyganie-



Atleci w Krakowie: Piotr Jankowski.

wicza do walki, jest John Pohl, zwany Abs II. z Hamburga. P. Pohl liczy lat 38, zawód zapaśniczy uprawia od lat 13. Waży 310 funtów, a imponuje również olbrzymim wzrostem, wysoki jest bowiem 1 metr 78 cm. Posiada mnóstwo odznaczeń i nagród, ponadto jest championem światowym z roku 1904.

Aranżerem i kierownikiem zapasów jest atleta wiedeński p. Specht. Siłacz to salonowy, posiadający doskonałą szkołę, która mu w głównej części pomaga do zwyciężania silniejszych nawet odeń atletów.

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok fotografie najwybitniejszych atletów, biorących udział w walce o nagrodę miasta Krakowa, a mianowicie: pp. Cyganiewicza, Jankowskiego, Binninga, Absa II., oraz Spechta.

Krwawe żniwo „czarnych sotni“ w Odessie.

Wspominaliśmy już niejednokrotnie o barbarzyństwach, jakich się dopuszczały pod ochroną policyi i wojska słynne owe „czarne sotnie“, złożone z ludzi, dla których mord i rabunek jest rzeczą tak zwyczajną, jak dla innych praca lub sen. Bandy te, podjudzone przez czynowników rosyjskich, rozhulały się zwłaszcza w środkowej i południowej Rosyi, niszcząc wszystko, co im pod rękę wpadło, niosąc za sobą śmierć dla wszystkich, którzy wobec rządu okazali się „niebłagonadiożni“, pozostawiając za sobą jeno trupy pomordowanych, ruiny i zgliszcza. Nienawiść ich zwróciła się w pierwszym rzędzie przeciw żydom, oraz przeciw robotnikom rewolucyjnym, których napadano nietylko na ulicach, ale i w domach, wyciągano z łóżek i mordowano w najokropniejszy sposób.

Szczególnie dały się te czarne sotnie we znaki rewolucyjnej ludności w Odessie. Przez kilka dni z rzędu trwały tam rzezie, którychby się nie powstydzili średniowieczni fanatycy. Mordowano każdego, kto nie przyłączał się do band rozbójniczych, nie brał udziału w rabunkach i rzezi. Gdzie się tylko pokazał na ulicy żyd, albo student, rzucały się nań czarne sotnie jak sępy, rozdzierały formalnie ciało, pastwiły się jak najdziksze zwierzęta nad trupem i nieraz z człowieka pozostawiały jeno szarą, brudną, zbitą masę, poczem banda, śpiewając hymn carski, szła dalej, jak rozhukany tabun zwierząt.

Na ulicach leżało czasem setki trupów ofiar, pomordowanych przez „wierne sługi cara“. Dopiero w kilka godzin później władze zarządzały „oczyszczenie“ ulic. Zbierano tedy trupy, ładowano na wozy i wieziono na cmentarz, gdzie je poprostu zrzucano z wozów i pozostawiano nie pogrzebane, aby na drugi dzień można było trupy rozpoznawać. Zamieszczona obok ilustracya przedstawia miejsce na cmentarzu odeskim, gdzie trupy pomordowanych można było oglądać. Zaiste, straszny to obrazek, pełen grozy i okrucieństwa. A na cmentarzu brakowało już poprostu miejsca, na groby dla pomordowanych. Kopano je więc jeden obok drugiego, a do



Lekarze podczas rewolucyi: „Latający ambulans“ lekarski, niosący pomoc rannym podczas rozruchów w Odessie.

każdego wrzucano kilka ciał, które naprędce przysypywano ziemią, aby zapobiedz rozkładaniu się trupów. Każdy dzień rzezi przynosił nowe ofiary, tak, że wkrótce na cmentarzu widać było długie szeregi mogił, w których spoczywały snem wiecznym ostatnie może ofiary caratu. Podajemy obok ilustracyę, przedstawiającą kopanie grobów na cmentarzu odeskim, która może choć w części uprzytomni nam, jak krwawe żniwo zbierały „czarne sotnie“.



Krwawe żniwo „czarnych sotni“ w Odessie: Pogrzeb katolickiego robotnika, zamordowanego przez chuliganów.



Krwawe żniwo „czarnych sotni“ w Odessie: Zwłoki pomordowanych, wystawione na cmentarzu odeskim, celem rozpoznawania trupów.

I jeszcze jeden ze smutnych obrazków z rewolucyi. Na cmentarzu widać grupę ludzi, stojących przy prostej, z desek zbitej trumnie. To pogrzeb katolickiego robotnika, może ojca rodziny, która się zebrała, aby po raz ostatni uczcić i pożegnać ofiarę carskich siepaczy. Śpiewają pewnie pobożne pieśni, polecając Bogu duszę zmarłego. Cicho na cmentarzu. Wiatr nie wieje zupełnie, nawet chorągiew kościelna jakby zmartwiała, nie porusza się, nie szeleści. To cisza śmierci; tu miejsce wiecznego spokoju, miejsce, gdzie śpią snem wiecznym ci, którzy, aby zrzucić z siebie kajdany, szli z ochotą na śmierć, taksamo jak i ci, co w obronie caratu mordowali setki niewinnych ofiar.

Te drobne obrazki, mające uprzytomnić czytelnikowi chwilę walki o wolność, tłómaczą się zresztą same przez się doskonale, więc też obszerniej o nich nie piszemy.



Krwawe żniwo „czarnych sotni“ w Odessie: Kopanie grobów dla pomordowanych przez chuliganów ofiar.

Lekarze podczas rewolucyi.

Każda wojna pożera tysiące ludzi, którzy padają jej ofiarą. Ale wojna, prowadzona przez dwa uzbrojone należycie wojska, wyrządza jednej i drugiej stronie mniejwięcej jednakowe straty, właśnie przez to, że przeciwnicy mają jednakową mniejwięcej broń. Straszny jest zato stosunek ofiar w wojnie domowej, w czasie rewolucyi, kiedy z jednej strony stają do walki tłumy, słabo tylko albo zupełnie nie uzbrojone, a z drugiej strony wojsko, w całym rynsztunku wojennym. Rzecz naturalna, że z pomiędzy żołnierzy pada zaledwie kilku zabitych, kilkudziesięciu bywa zwykle rannych, podczas gdy każda taka walka pożera setki ofiar z pomiędzy rewolucyjnych tłumów. Ofiary te, czasem jeno ciężej ranne, muszą umierać, bo niema lekarzy, niema niezbędnej pomocy, jakiejby im trzeba było udzielić. Trupy i ranni leżą nieraz całymi dniami na ulicy, zanim je przyjdą pozbierać. A wtedy już nawet lżej ranni wyzionęli ducha właśnie z powodu braku pomocy lekarskiej.

W rewolucyi rosyjskiej, zwłaszcza w ostatniej jej fazie, wzięli gorliwy udział z całem zresztą społeczeństwem i lekarze, jako klasa jedna z najbardziej inteligentnych. Kiedy z Moskwy wyszło hasło do ogólnego strejku, kiedy cały naród powiedział sobie: „dziś nie będziemy robić, choćby nam z głodu umrzeć przyszło“ zastrejkowali również i lekarze. Ale wkrótce przekonali się, że oni właśnie strejkować nie mogą, że właśnie wtedy czeka ich najenergiczniejsza praca, która będzie nie złamaniem solidarności z rewolucyonistami, ale właśnie jej wyrazem, mianowicie praca nad rannymi i chorymi rewolucyonistami.

We wszystkich więc większych miastach, gdzie co dzień prawie przychodziło do walk między rewolucyjnymi tłumami, a wojskiem, zorganizowali lekarze tak zwane „latające pogotowia ratunkowe“. Na małych wózkach objeżdżali oni ulice, udzielając pomocy rannym, jakich spotkali. Nie ordynowali w szpitalach ani w domach, ale pracy mieli dość. Nie było bowiem czasami ulicy, na której nie byłoby kilkudziesięciu poranionych robotników. Co prędzej udzielano im pomocy, bandażowano i opatrywano rany, ratując w ten sposób życie setkom bojowników o wolność.

Ludwik Czelański.

Pan Ludwik ma dziś lat jak uciął trzydzieści i pięć, choć wygląda co najwyżej na dwudziestopięcioletniego młodzieńca. Czech rodem, przyszedł na świat jakby na złość we Wiedniu. Młodość spędził w Czechach i tu studyował. Bardzo rychło przyszedł do przekonania, że całe studyum gimnazyalne ani funta kłaków nie warte i uważając, że o wiele lepiej jest oświecać chamów, wstąpił do seminaryum nauczycielskiego, po którego chlubnem ukończeniu pełnił przez rok cały przyjemne obowiązki nauczyciela ludowego w jednej z czeskich szkół ludowych. Podczas tego szerzenia światła poczuł w sobie już dawno drgająca żyłkę artystyczną,.. Szukał siebie i nie mógł się znaleść... Ni stąd ni zowąd znalazł się młody nauczyciel ludowy w konserwatoryum w Pradze w oddz. kompozycyi, organów i fortepianu. Równocześnie kształci się na aktora „charakterystycznego“ w szkole dramatycznej przy Narodn. Divadle w Pradze a przytem kończy prywatną szkołę operową Pivody. Po dwóch latach był gotów z temi trzema szkołami i zaangażował się jako aktor w jednym z pragskich teatrów. Na ten czas przypada pierwszy jego publiczny debiut kompozytorski i kapelmistrzowski, bo skomponował muzykę do melodramatu Vrchlickiego „*Zeme*“ (Ziemia), który wystawiono w Nar. Divadl., a p. Czelański sam dyrygował (r. 1894). Sukces był tak wielki, że zaraz po tem przedstawieniu miejska opera w Pilźnie powierzyła mu urząd pierwszego kapelmistrza. Po roku przenosi się w tym samym charakterze do Zagrzebia a stąd wraca już na stałego kapelmistrza opery Narodnego Divadla w Pradze. Tu bawi $1\frac{1}{2}$ roku. W roku 1900 angażuje go Pawlikowski do nowego teatru miejskiego we Lwowie na rekomendacyę swego osobistego przyjaciela Fr. A. Szuberta, b. dyrektora Nar. Divadla.



Ludwik Czelański.

We Lwowie pomimo całego uznania bawi tylko kilka miesięcy, bo z powodu całego szeregu nieporozumień porzuca Lwów i powraca do Pragi, gdzie po strejku tamtejszej orkiestry operowej, zakłada Filharmonię czeską, która do tej pory istnieje.

W tym czasie L. Heller zakłada swoją Filharmonię i zaprasza p. Czelańskiego do Lwowa oddając mu — wszystko. Tu p. Czelański przedewszystkiem skompletował i — rzec wolno — stworzył wyborną pod każdym względem orkiestrę, jakiej Lwów przedtem ani dotąd potem nie widział.. Pracował za dziesięciu, a praca ta miała bardzo widoczne rezultaty. Orkiestrą Filharnonii lwowskiej — ówczesnej — zachwycali się wszyscy.

Lecz cała Filharmonia żyła tylko rok, po którym Heller, znany z bogactwa pomysłów i planów założył wędrowną operę i oddał jej kierownictwo Czelańskiemu. A więc operą dyryguje w Krakowie i w Łodzi. Zawiódłszy się na operze puszcza się Heller z Czelańskim na czele swojej orkiestry w *tournée* po Królestwie i Rosyi.

Zaczęli od Warszawy. Warszawiacy byli zachwyceni. Puszczają się dalej gubiąc po drodze Hellera... Czelański na czele 50 i kilku osób objeżdża kilkadziesiąt miast rosyjskich witany wszędzie i podejmowany z entuzyazmem niesłychanym. Pożegnalny koncert tej wycieczki dano we Lwowie, poczem p. Czelański rozpuścił orkiestrę udając się sam na odpoczynek do Berlina. Na zaproszenie Grąbczewskiego przyjeżdża do Lwowa, gdzie obejmuje stanowisko kapelmistrza orkiestry operowej. Pierwszą operę wystawił przedwczoraj (we środę). Grano „Halkę“.

Cały Lwów muzykalny cieszy się i wdzięczny jest dyrekcyi, bo p. Czelański jest kapelmistrzem, jakich mało..., Trzeba go widzieć dyrygującego.... bo jest nietylko co słyszeć, ale i co widzieć. On dyryguje nie samą pałeczką, ale literalnie całym korpusem. W jego dziwacznych ruchach nerwowych odbija się cała orkiestra. Cała orkiestra ani na chwilę nie spuszcza z oka znakomitego dyrygenta pamiętającego o wszystkich równocześnie.... *Klewe.*

Z TEATRU.

Słuszne i na faktach oparte stanowisko, jakie zajęliśmy od początku wobec ciasnoty pojęć p. Solskiego jako dyrektora teatru, zaznaczając, że ten intrygant nie dorósł do wysokiego zadania, jakiem jest prowadzenie teatru wogóle, a zwłaszcza w Krakowie — znajduje zwolna odzew w całej prawie prasie. Tak poważne pismo jak „Przegląd polski“, wystąpiło z szeregiem uzasadnionych i poważnych zarzutów, z powodu wprost ohydnego repertuaru i bezmyślnego obsadzania ról, „Krytyka“ zarzuciła Solskiemu niezdolność, „Czas“ odezwał się również ostro z powodu braku repertuaru. W ostatnich dniach, z powodu „Warszawianki“ sprawozdawcy „Naprzodu“ i „Głosu Narodu“ uderzyli słusznie na p. Solskiego, który na punkcie mniemanego talentu swojej żony zdaje się być wprost dotknięty nieuleczalnym obłędem.

Ostatnie przedstawienie „Warszawianki“ względnie powierzenie głównej roli „żonie“, (?) p. Solskiej, jest nieodpartym tego dowodem. Rolę dawniej tak pięknie, stylowo graną przez p. Ordon-Sosnowską, tak poprawnie i ze siłą odtwarzaną przez p. Arkawin, przydzielił p. Solski znowu swojej żonie (?) która niemożliwym skrzekiem (rozbity klarnet z Napajedel), fałszywą, nieinteligentną interpretacyą, zepsuła prześliczną postać i obniżyła wartość tego wspaniałego dzieła.

Podziwiać trzeba publiczność krakowską, że cierpliwie znosiła to świętokradztwo, że nie ujęła się za moralną krzywdą swoich krakowskich artystek, które muszą znosić tego rodzaju lekceważenie dla importowanej ze Lwowa pani Solskiej, pozbawionej wszelkiej szczerości, prawdy, uczucia w grze, co zresztą wobec pożycia z takim panem Solskim jest zupełnie zrozumiałe.

Dziwić się trzeba cierpliwości i obojętności widowni krakowskiego teatru, wobec jawnych drwin jakie urządza pan Solski przez idyotyczne przemiany ról, odbieranie ich artystkom i artystom utalentowanym, a rozdawanie między szkółkę, tanich adeptów i adeptki, z których ma się wytworzyć zespół lichy wprawdzie, ale, jak to mówią, za psie pieniądze.

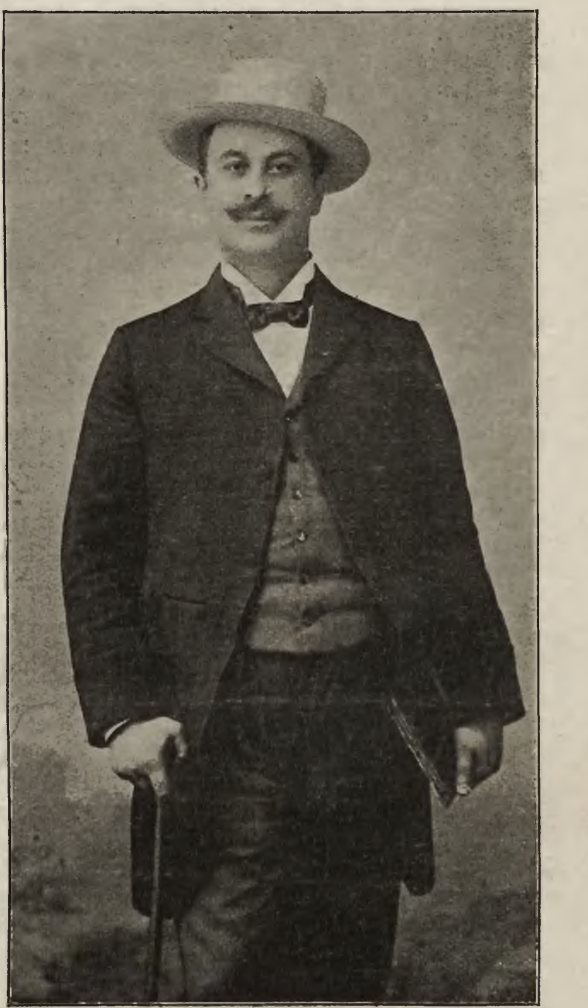
Pan Solski, jako dyrektor, to nowa wydzielina niezdrowych stosunków krakowsko-galicyjskich. Wiadomo, jakim sposobem przyszedł do teatru. Hr. Andrzej Potocki narzucił go wprost miastu na dyrektora, a p. Leo przez zwykłe oszustwo urządzone z wysunięciem kandydatury Bandrowskiego, z rozkazu namiestnika, przeforsował Solskiego przeciw Wyspiańskiemu. „Krytyka“ podniosła głośny protest, ale nikt go wówczas nie słuchał. Dziś przyznać musi każdy, że p. Feldman miał racyę. W teatrze krakowskim rozpiera się kabotyn, kreatura stańczykowska, która drwi sobie z aktorów i publiczności, czując za sobą plecy rządzącej kliki. Tej publiczności, która płaci i chodzi do teatru rzuca p. Solski ochłapy repertuaru, narzuca jej siebie i swoją „żonę“, pomijając w sposób oburzający artystki tej miary co Wysocka, Ordon-Sosnowska i inne, a z artystami obchodzi się jak z niewolnikami, wyzyskując ich moralnie i materyalnie. Z drugiej strony jednak, jak się dowiadujemy, podczas zjazdu „panów“ na ślubie Badeniego, p. Solski razem z żoną wycierał stańczykowskie przedpokoje, zalecając się i prosząc o poparcie a wymyślając na niegodziwych krakowskich kołtunów i hołotę z galeryi. Ej, panie Solski, radzimy zatrzymać się... Publiczność krakowska jest wyrozumiała i cierpliwa, ale gdy raz przejrzy, wówczas zobaczy pan, że nawet plecy stańczykowskiego namiestnika, za które się kulisz, nie wiele ci pomogą.

Najwybitniejszy i najlepszy znawca polskiego teatru, stary Koźmian, na wiadomość, że p. Solski dostał dyrekcyę krakowskiego teatru wyraził się: „Kraków na nikim jeszcze tak się nie zawiódł, jak się zawiedzie na Solskim“.

Sprawdza się co do słowa. *Oświk.*

Józef Szymański.

Jeszcze jako ucznia lwowskiej szkoły realnej, (urodz. we Lwowie 21 stycznia 1870), lubili go koledzy i nauczyciele za piękny i do duszy wnikający głosik, którym produkował się na mszach studenckich, jedynych wówczas chwilach, w których młodzież popisywać się mogła, bo wieczorków uczniom nie wolno było urządzać. Nikt nie wątpił, iż Szymek zostanie śpiewakiem, gdy oddał się w opiekę zdolnej nauczycielce lwowskiej p. Sobotowej. Pod jej umiejętnem kierownictwem, wypróbowawszy sił swych na estradzie, debiutuje w roku 1892 na scenie skarbkowskiej we Fauście (Walenty). Zaletami zewnętrznemi a przedewszystkiem pięknym materyałem głosowym, zdobywa przychylność muzykalnej lwowskiej publiczności i wstępuje na żmudną i kolcami usłaną karyerę śpiewaczą. Studyów jednak nad pięknym swym materyałem głosowym i umuzykalnieniem nie zarzuca. Pragnąc je pogłębić i rozszerzyć, wyjeżdża do Wiednia i tu u prof. Gänsbachera szuka wiedzy śpiewaczej, tudzież koniecznej w zawodzie śpiewaczym sprawności technicznej. Na lwowskiej scenie pracuje Szymański dźwigając na swych barkach cały repertoar barytonowy od roku 1895 do 1903 t. j. do rozbicia opery lwowskiej, poczem osiada chwilowo w Krakowie i wierny pieśni ojczystej, rozpoczyna szereg produkcyj estradowych.



Józef Szymański.

Praca to dla Szymańskiego nie nowa, gdyż lubiany ogólnie i ceniony przez lwowską publiczność, artysta ten musiał w ciągu swej karyery operowej jawić się często na estradzie w roli wykonawcy pieśni. Pieśń gallowska i serdeczna nuta narodowego piewcy Moniuszki, oraz pieśniarstwo współczesne, znalazły w Szymańskim wybornego odtwórcę. Śpiewa z wielkiem powodzeniem u nas, w Warszawie, Poznaniu i w ogóle w całej Polsce, witany na estradzie z równą życzliwością i szczerym aplauzem, jak i w najlepszych swych partyach t. j. Janusza, Halka, Uroka, Manru, Kostryna, Goplana, Azyi Wołodyjowski, Walentego, Rigoletta, Torreadora, Amonasra, Astona, Alfia, Tonia, Scarpię, Onegina, Orsiniego, Telramunda, Wolframa, Latającego Holendra i t. d. Obecnie śpiewa ponownie w operze lwowskiej, ku ogólnemu zadowoleniu muzykalnych Lwowian. *—.urs.—*



Plotki lwowskie.

Co sobie opowiadają w Rosyi o Lwowie. – Rosyjscy przybysze a nasza gościnność. — Lwowskie hotele. — Jak się u nas wyprowadza z błędu. — Przedsmak rozruchów rosyjskich a nowe zwycięstwo policyi. – Hofrat Schechtel idzie. – Dwa śledztwa. — Raport wojskowy i raport cywilny. – Strach konsula a wizyta namiestnika. – Wiec ludowy zaniedbany przez policyę. — Policyjny fejleton. — Zjawisko na niebie i jego komentarze. — Zmiana tytulatury. — Stróż czy dozorca. – Mój stróż i jego goście. — Klisia chora. – Skutki podwójnego wzroku.

W całej Rosyi opowiadają sobie oddawna, że Lwów to miasto bardzo spokojne, gościnne i sympatyczne, że ludzie żyją tu tanio, wygodnie i bezpiecznie, jak u Pana Boga za piecem kaflowym, że niema tu ani teroru rosyjskiego, ani zgiełku rewolucyjnego, ani rzezi czarnych sotni, a żołnierze i policyanci całują się na ulicy z cywilami i piją „bruderschaft“. Dlatego wielu mieszkańców Petersburga, Moskwy, Odessy i innych miast rosyjskich. uciekając przed pogromami tamtejszymi, przyjechało wprost do Lwowa, do tego *eldorada* spokoju i wolności, ażeby nareszcie odetchnąć, odpocząć, przyjść do siebie, a przedewszystkiem, ażeby uratować życie. W powyższych celach przyjechali do Lwowa, więc Lwów przyjął ich, jak mógł, gościnnie. Przedewszystkiem chodziło o pomieszczenie przybyszów. Więc hotele. Ale pierwszo i drugorzędne hotele są zajęte i zbyt drogie, więc wybrali trzecio- i ostatniorzędne. Niestety! Jest ich wprawdzie wiele, ale one nie przyjmują stałych gości. Wszystko zajęte — odpowiedziano im, bo taki przybysz może i chce płacić co najwyżej dwie lub trzy korony dziennie, ale żąda opału, oświetlenia, czystej pościeli i innych dodatków, podczas gdy te hotele zarabiają na jednym pokoju po kilkadziesiąt koron dziennie, bez grymasów i kłopotów. Nie można więc żądać, by właściciele hotelów z powodu jakiejś tam rewolucyi rosyjskiej pozbawiali się zarobku uczciwego, tolerowanego przez lwowską policyę, magistrat i inne władze, którym przecież bezpieczeństwo i moralność publiczna przedewszystkiem leżą kamieniem na sercu. Policya tu ingerować nie mogła i nie chciała, bo w razie wygodnego i taniego pomieszczenia rosyjskich przybyszów, groziło nam „formalne zalanie“ nowymi uciekinierami z Rosyi. Z ciężką więc biedą porozmieszczali się, gdzie mogli, oczywiście za drogie pieniądze, których mieli mało, a Lwów robił dalej wszystko możliwe, ażeby ich wyprowadzić z dotychczasowego błędu. A więc drożyzna i brak środków żywności przekonały ich, że w Galicyi niema wprawdzie rewolucyi, ale że rewolucya nie jest koniecznym ich warunkiem, bo zupełnie do tego wystarcza, gdy magistrat jest pod psem i bezradny jak mysz w łapce. Za to zaimponowało im końskie mięso, którego nigdy nie jedli, a o którem dopiero we Lwowie się dowiedzieli. Ażeby im jednak ze wszystkiem dać przedsmak rozruchów rosyjskich, urządziła policya walną bitwę pod konsulatem pruskim przy ul. Mochnackiego, w której odniosła znów świetne zwycięstwo nad studentami i przekonała po raz x-ty pana namiestnika, sejm i opinię publiczną, że policya lwowska na punkcie dzielności prześcignęła kozaków moskiewskich i najtęższych członków czarnych sotni, oraz, że bezpieczeństwo publiczne we Lwowie nie pozostawia już nic do życzenia dla konsulatu pruskiego. Na osobną wzmiankę pochlebną zasługuje policya konna, których szarża, tratowanie i rozpychanie radością napełniało serca lwowskich obywateli, nieufnych dotąd w dostateczność sił i sprawność ruchów naszej policyi. Dzielnie zachowywali się urzędnicy policyi, którzy już niejednokrotnie dowiedli wybornych kwalifikacyi na dowódców siły zbrojnej. Gdyby Rosya była miała takich wodzów, z pewnością losy wojny rosyjsko-japońskiej byłyby wzięły pomyślniejszy dla niej obrót. Naczelnik siły zbrojnej policyjnej, hofrat Schechtel, z powodu ostatniego zwycięstwa jego hufców, otrzymuje liczne gratulacye z najdalszych stron Rosyi i Persyi i tymi dniami opuści swoje dotychczasowe, tak zaszczytne i obfite w plony, stanowisko oberpolicmajstra Lwowa.

W sprawie bitwy pod konsulatem pruskim toczy się podwójne śledztwo, jedno wojskowe, drugie cywilne. Wojskowe śledztwo dotąd wykazało, że studenci sprowokowali przechodzących tą drogą spokojnie kilkudziesięciu policyantów, że do nich bez żadnego słusznego powodu strzelali z karabinów (studenci nie noszą przy sobie karabinów, lecz armaty! *Przyp. Red.*), przyczem jednego policyanta omal nie zastrzelili na śmierć, a tylko zawdzięcza swe ocalenie tej okoliczności, że nie był wówczas w służbie, dwunastu policyantów postrzelili, raniąc im różne mniej lub więcej ważne i potrzebne części ciała, jednego udusili żywcem, a wreszcie czterech konnych policyantów studenci potratowali. Śledztwo cywilno-policyjne wykazało mniej krwawe rezultaty. Policya, jak zawsze, uprzejmie prosiła demonstrantów do spokojnego „rozejścia się“. Demonstranci, w odpowiedzi na tę prośbę, obrzucili policyę obelgami i kamieniami, zapytując ich o numery na księżycach. Wtedy policyanci pochowali swoje półksiężyce, chroniąc je przed natarczywością napierających demonstrantów. To podobno oburzyło demonstrantów, bo zaraz po tym fakcie padł pierwszy strzał, a po nim drugi i trzeci, które na szczęście nikogo z policyantów nie zabiły, ale owszem zwróciły się przeciw samym demonstrantom. Policya cofnęła się przed kulami, lecz demostranci strzelali do niej z tyłu, żądając okazania księżyców, których — jak wiadomo — policyanci z tej strony nie noszą. Nie pomogły łagodne i ludzkie przedstawienia ze strony urzędników policyi, że ekscelencya sam pan namiestnik przestrzegał w sejmie przed demonstracyami i zapowiedział, że policya niewinnych za winnych tratować i mordować będzie, podobnie jak nie pomogły perswazye ajentów policyjnych, którzy w przekonywujący sposób dla odstraszenia rozdzielali kułaki pomiędzy studentów — demonstranci napierali dalej i w ścisku ranili się, drąc na sobie ubrania. Wtedy zjawili się na miejscu zajścia ekscel p. namiestnik z prezydentem i posłami sejmowymi, dla których ocalenia musiała wkroczyć policya konna. Konie z początku bardzo łagodnie i po ludzku obchodziły się z demonstrantami, usuwając ich oględnie i delikatnie, dokładnie według regulaminu dla policyi konnej i ustnych wskazówek urzędników policyi. Lecz i koniom nie dali demonstranci spokoju, popychając je, bodząc i kopiąc, a od czasu do czasu strzelając do nich z rewolwerów. Wtedy policya nie chcąc dopuścić do bratobójczej walki, cofnęła się w spokoju.

Z demonstrantów nikt nie zgłosił się na stacyi ratunkowej, z czego wynika, że żaden z nich nie poniósł szwanku. Z policyantów dwóch lekko rannych w księżyc, a jeden walczy między życiem, śmiercią a zmartwychwstaniem.

Tak mniej więcej brzmią protokoły dwóch śledztw urzędowych, a więc zasługujących na wiarę. Wobec tego interpelacye posłów sejmowych były zupełnie niepotrzebne. Można być pewnym, że policyantom nic złego się nie stanie, że komisarze i ajenci policyjni posuną się o jedną rangę w górę a dyr. Schechtel pójdzie w dobrze i dawno już zasłużony stan spoczynku, jeżeli nie przejdzie do innej służby w namiestnictwie.

Najwięcej strachu miał podobno sam konsul pruski, któremu tę *„Tafelmusik“* urządzono podczas kolacyi. Namiestnik natychmiast złożył mu wizytę i przeprosił w imieniu policyi i demonstrantów za owacyę. Pan konsul nawet nie wyszedł na balkon, ażeby zebranym na dole za owacyę podziękować. Ot, Prusak...

Tak więc skończyła się owa pamiętna demonstracya przed konsulatem pruskim, uświetniona łaskawym współudziałem lwowskiej policyi. Natomiast zaniedbała policya przyczynić się do uświetnienia innego pochodu demonstracyjnego, mianowicie pochodu, który ruszył po wiecu w „Gwieździe“ przed sejm. Dzięki temu zaniedbaniu brakło urozmaicenia, nie było awantur, strzelaniny, krwi, jednem słowem pochód był jałowy i nie utkwi w naszej pamięci. I przekonujemy się po raz setny, że tylko tam, gdzie wmięsza się policya, robi się coś zajmującego, co warto zapamiętać i powoduje ruchawkę w mieście. Bez policyi nie byłoby życia, bo wyginęlibyśmy z nudów.

Przepraszam szanownych a tak cierpliwych czytelników za ten dzisiejszy fejleton policyjny, ale musiało się to stać, skoro „plotki“ mają być fotografią tygodnia, a cały tydzień ubiegły przeżyliśmy pod znakiem pół-księżyca.

Z innych „znaków“, pod którymi żyliśmy w ubiegłym tygodniu, zanotować muszę cudowne zjawisko atmosferyczne. widziane i podziwiane na niebie onegdaj wieczorem, wyobrażające wielką krwawą plamę w otoczeniu poszarpanych chmur. Ludzie długo oglądali zjawisko i komentowali w najdziwaczniejszy sposób. Jedni uważali to za zapowiedź bliskiej wojny z Rosyą, inni przepowiadali głód czy potop, rzeźnicy twierdzili, że to tak niebo gniewa się na jatki końskie, w teatrze wróżono wystawienie i upadek nowej sztuki swojskiego autora (może to „Czerwony bukiet“, który zwiądł po drugiem przedstawieniu?), „Słowo polskie“ obawia się, aby p. Wityk nie wyrżnął szlachty polskiej we wschodniej Galicyi, w magistracie przepowiadają wyschnięcie wody w wodociągach a dzienniki — dzienniki nic nie przedowiadają.

Z pocieszających faktów ubiegłego tygodnia zanotować jeszcze muszę zmianę dotychczasowego tytułu stróżów kamienicznych na oficyalny tytuł: dozorca. Regulamin dla stró — pardon, dla dozorców uchwaliła nasza rada miejska na jednem z ostatnich swoich posiedzeń. W główniejszych zarysach streściłem już dawniej ten regulamin z pewnemi zmianami, które pozwoliłem sobie zaproponować na rzecz pp. dozorców. Te zmiany są, zdaniem mojem, konieczne dla podniesienia społecznego i etycznego pp. dozorców, którzy, jak wiadomo, są jeszcze dość — niekulturni. Mój stróż naprzykład jest kapitanem czy oberlajtnantem u ck. weteranów wojskowych, urządza u siebie często „tańcujące herbatki i wódeczki“ a po zabawie od swoich własnych gości bierze szperę, wypuszczając ich z bramy. Bo stróżowi wszystko wypada. Natomiast dozorcy już podobna niedelikatność nie uchodzi. Dobrze więc stało się, że uchwalono tę zmianę tytulatury.

Piorunująca wieść o niebezpiecznej chorobie najulubieńszej artystki lwowskiej Karoliny Kliszewskiej, bawiącej obecnie na kuracyi zagranicą, spadła niespodzianie i wywołała olbrzymie wrażenie. Trzeba widzieć, jaką sympatyą cieszy się u nas Klisia, ażeby zrozumieć zmartwienie i żal jej gorących wielbicieli. Ale serdecznie rozkoszna Klisia wykpiła się śmierci i oto wraca już po ryzykownej operacyi do zdrowia. Można sobie już dziś wyobrazić. jakie owacye i ile kwiatów nazbiera p. Kliszewska, gdy po raz pierwszy wystąpi po słabości i srebrnym głosikiem zaśpiewa kuplet. jak to ona już miała pójść śpiewać do nieba, ale żal jej było porzucać ukochany Lwowek, który tak pokochała, a który ją tak szczerze kocha...

Na zakończenie... Pewien urzędnik lwowskiej dyrekcyi kolejowej wrócił właśnie mocno „nie swój“ do swego domu, do którego trafił przy gorliwej pomocy trzech kolegów nad ranem, gdy u jego żony wstawił się... bocian. Zaglądnął do małej wanienki i rozpromieniony wyleciał z mieszkania, aby kolegom oznajmić radosną nowinę. Jeszcze ich zastał na schodach.

— Co jest? — zawołali koledzy chórem.

— Jest błogosławieństwo — odparł jeszcze ciągle kirny... ojciec.

— Co Bóg dał, syna czy córkę? — spytał jeden z kolegów.

— Gdzie tam, dwóch chłopców naraz! — odpowiedział uradowany ojciec i wrócił do domu, odebrawszy gratulacye kolegów.

Cały oddział wiedział już nazajutrz o radosnej nowinie. Tylko ojciec jakoś nie przychodził. Aż następnego dnia powitano go w biurze chórem.

— Rzadkie szczęście — mówili koledzy — bliźnięta, to szczęście!

— Gdzie tam, to tylko jeden chłopak, ale w pierwszej chwili wydawało mi się, że to bliźnięta, bo po pijanemu widzę podwójnie...

Klewe.

Między teściowemi.

— Czyż to być może, żeby zięć pani ośmielił się podnieść na nią rękę?

— Tak, droga pani, niestety to zwierzę dopuścił się tego!

— Mój zięć — to anioł! wczoraj na imieniny ofiarował mi przepyszny wieniec z nieśmiertelników z dedykacyą „mojej nieodżałowanej teściowej“...

Na balu publicznym.

Gospodarz (do nietańczącej młodzieży): Pięknych dam dużo, a panowie próżnują, nie chcą tańczyć.

Młody człowiek: Niema głupich.

Starszy pan: Są, tylko nie chcą tańczyć.

Aino Acté.

Królestwo pieśni, którego jednej z przedstawicielek i to jednej z najwybitniejszych, podajemy dziś podobiznę, posiada w swem rozległem państwie, niewielką stosunkowo liczbę potentatów i potentatek, stojących na świeczniku sztuki. Kiedy mowa o książęcych godnościach w tej czarownej krainie, nasunie się parę nazwisk, ot takich jak Kochańska, Bellincioni, Litvinne, Melba, Calve.... no i jeszcze kilka. W świetnem tem gronie, jedno z naczelnych miejsc zajmuje *Aino Acté*, primadonna wielkiej opery paryskiej, śpiewaczka wielkiej wszechświatowej sławy, słynna poza sztuką także i z niezwykłej swej a olśniewającej urody, artystka podziwiana i oklaskiwana we wszystkich centrach ruchu muzycznego Europy, Ameryki a także i Australii.

U nas znaną jest chyba tylko z illustracyj muzycznych lub z podobizn na.... kartkach pocztowych lub wreszcie z ciągłych, na ton niemal bałwochwalczy nastrojonych recenzyi pism francuskich, amerykańskich i angielskich a nawet i niemieckich, ostatnich tak niechętnie oddających uznanie obcym artystom. Słynna artystka francuska, ulubienica Paryżan, nie jest francuską z urodzenia. Aino Acté jest Finlandką. Urodzona w r. 1877 w Helsingfors, już od najmłodszych lat zdradzała olbrzymie zdolności muzyczne, które drogą atawizmu otrzymała od swych rodziców, ojca wybitnego muzyka finlandzkiego, dyrektora konserwatoryum w Helsingforsie i matki, niegdyś cenionej wysoko śpiewaczki operowej i estradowej, znanej w swoim czasie w Europie pod imieniem Emmy Strömer. Wśród nawskroś artystycznej atmosfery panującej w domu rodzicielskim, w którym stałymi gośćmi byli tacy muzycy jak nasz dobry znajomy Willy Burmester wielki skrzypek a wówczas profesor konserwatoryum w Helsingfors, Sibelius, Facer i najwybitniejsi muzycy finlandcy — wychowało się urocze dziewczątko, przyszła arcykapłanka sztuki pod okiem matki, stawiającej pierwsze jego kroki w dziedzinie trylów, solfeggiów, wokaliz i t. d. W roku 1894, wysyłają rodzice swą niezwykle piękną i niezwykle uzdolnioną dziecinę do Paryża. Uzyskawszy miejsce w konserwatoryum, kończy tu trzechletni kurs nauki śpiewu pod kierunkiem słynnego mistrza Edmunda Duvernoy i po świetnym konkursie, jako laureatka obdarzona



Aino Acté.

najwyższem odznaczeniem, przechodzi wprost na deski wielkiej opery paryskiej, na której zbierając laury i hołdy, króluje jako primadonna po dzień dzisiejszy. O ile pozwala na to repertoar wielkiej opery, przyjmuje gościnne występy w Ameryce i Europie, występy przynoszące jej i sławę i olbrzymie bonoraryа.

W życiu codziennem jest znakomita artystka dobrą córką nie tylko wobec rodziców, lecz także i ojczystej swej ziemi, której, zbierając laury wśród obcych, jest prawą obywatelką, oddaną nie połową ale całą duszą. Ta, u stóp której składano w początkach jej karyery artystycznej fortuny, ba nawet i mitry — ta na której spotkanie biegnie cały olbrzymi międzynarodowy tłum wielbicieli piękna muzycznego — ta która wreszcie stała się dziś własnością całego świata i mogła zapomnieć wśród hołdów o swoich i ochłonąć z przywiązania do ojczyzny — ta Aino Acté dziś pierwsza z Paryżanek, oddaje rękę swą i serce Finlandczykowi, towarzyszowi lat młodzieńczych, adwokatowi Renvaltowi.... Lecz na szczęście państwo Renvaltowie nie stanowią tak często w świecie artystycznym spotykanych par, w których żona ozłaca swym talentem i pracą nazwisko mężowskie. P. Renvalt jest znakomitością na innem polu, a to jako statysta, jako jeden z najwybitniejszych dziennikarzy finlandskich i wreszcie jako gorący i sprawom swej ojczyzny całą duszą oddany patryota...

Życie swe dzieli więc wielka śpiewaczka na dwie części. Część pierwszą trwającą siedm miesięcy, spędza w usługach sztuki, śpiewając w Paryżu i w świecie całym — część drugą w kole rodzinnem przy boku małżonka w Finlandyi, w uroczym zakątku wiejskim, majątku swym o parę kilometrów od Helsingfors oddalonym zameczku, niegdyś Gustawa Adolfa ulubionej siedzibie. Tu dzieli rozkosze rodzinne, kierując wychowaniem dziatwy, tu także dzieli i troski swego małżonka, któremu sroga ręka moskiewskiego despoty niejednokrotnie już zamykała na miesięczne okresy wydawanie pisma „Helblings Sanomat“ którego jest właścicielem i naczelnym redaktorem.

Wielką artystkę usłyszymy we Lwowie i w Krakowie. Dla miłośników śpiewu, będzie to prawdziwa biesiada muzyczna, dla snobów zaś pyszna sposobność ujrzenia Paryżanki, jednej z najpiękniejszych kobiet na świecie. *—urs.—*

We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył **M. S.**

27 (Ciąg dalszy).

— Być może! — odpowiedziała Helena. — Nie myślę się sprzeczać o to i nie chcę nawet sądzić, czy zamiary wasze są złe, czy dobre, ale powiadam wam, że ani dziś, ani za cztery tygodnie, ani też nigdy w życiu nie zgodzę na to małżeństwo. Sąd świata, jego plotki i oszczerstwa są dla mnie obojętne, jak długo sama sobie nie mam nic do wyrzucenia.

Nadspodziewana stanowczość młodej dziewczyny widocznie zmieszała Franciszka Springera, lecz doktor uśmiechnął się dobrotliwie. On bowiem miał jeszcze w ręku jednego atuta.

— Wspomniałem już, że tu nikt nie będzie pytać się ciebie o zdanie — rzekł łagodnie — i na tem kończę tę przykrą sprawę. W czasie twojej wycieczki nadeszły wiadomości z Ameryki, na które tak długo oczekiwałem i nie mam żadnej przyczyny ukrywać ich przed tobą!

To mówiąc doktor dobył z kieszeni list w kopercie, pokrytej markami Stanów Zjednoczonych i podczas gdy Helena z gorączkowym niepokojem wpatrywała się w jego ruchy, zaczął go zwolna rozwijać.

— Wspominałem ci już, że zwróciłem się do amerykańskich władz z prośbą o informacye, ale ponieważ szeryf nie znał ani twego ojca ani jego stosunków, polecił odpowiedzieć na mój list nieznajomemu panu Jamesowi Piersonowi, który podobno miał być przyjacielem nieboszczyka Rudolfa Springera. Czy przypominasz sobie takiego pana?!...

— Tak! — rzekła Helena cichym głosem — nazwisko Piersona często obijało mi się o uszy, bo miał on z ojcem bardzo liczne interesy!..!

— Dobrze! więc też chyba jego list znajdzie u ciebie wiarę! Otóż mister Pierson donosi, że twój ojciec dorobił się wprawdzie majątku, ale że w ostatnich miesiącach stracił go częścią wskutek nieudałych spekulacyi, częścią zaś z powodu bankructwa prywatnego banku, w którym miał złożone swe kapitały. To potwierdza także i moje przypuszczenie, że Rudolf Springer opuścił Amerykę tylko dlatego, że pozostał prawie bez żadnych środków do życia, a za stary był już, żeby się na nowo dorabiać! Na cud więc chyba trzebaby było liczyć, żeby zbankrutowany bank zwrócił teraz kapitały twego ojca!...

Helena prawie że nie słuchała tej całej perory, lecz gdy doktor zaczął składać list, aby go schować, zapytała go ledwie dosłyszalnym głosem:

— I niema już w tym liście nic więcej? Żadnej osobistej wiadomości dla mnie?...

— Ach! prawda! jest tam coś, ale mnie to bynajmniej nie zainteresowało! proszę! przeczytaj sobie sama!...

Doktor podał Helenie list, skreślony wprawnem pismem męskiem, którego nigdy sobie nie przypominała. Ale to nie zdziwiło jej wcale, bo jakże mogła przypomnieć sobie pismo Jamesa Piersona, skoro osobę jego przywodziła sobie na pamięć jak przez mgłę. Szybko przeczytała pierwsze stronice, gdzie mister Pierson, biadając nad swym przyjacielem, opisywał, jak nieuczciwość ludzka i śmiałe spekulacye zniszczyły cały zarobek. Dopiero na czwartej stronicy u samego dołu znajdowały się owe „osobiste wiadomości“, do których pan doktor nie przywiązywał żadnej wagi. Helena przeczytała tylko słów parę i z krzykiem bólu upadła na krzesło.

Po chwili jednak podniosła się i zapytała doktora, czy może ten list zachować dla siebie.

— Bardzo mi przykro, moje dziecię, że muszę ci odmówić — rzekł bardzo uprzejmie adwokat — ale muszę go bezwarunkowo dołączyć do innych aktów i potem przedłożyć sądowi. Jeśli jednak koniecznie chcesz, to możesz go parę dni zatrzymać!...

— Dziękuję! Oddam go panu — szepnęła sierota. — Czy macie mi może jeszcze coś do powiedzenia?

— Nie, dziecko! Powtarzam tylko, że twoje małżeństwo z Cezarem musi przyjść do skutku i że dziś ogłosimy jeszcze wasze zaręczyny. Byłoby zatem o wiele lepiej, gdybyś się nie opierała i nie dawała tem samem powodu do dalszych plotek!...

Helena nie odpowiedziała na to ani słowa, nie spojrzała nawet na obu mężczyzn, lecz w milczeniu opuściła gabinet stryja. Gdy tylko drzwi zamknęły się za nią, Franciszek Springer spojrzał pytająco na doktora a ten zatarł ręce z zadowoleniem.

— No! na razie możemy być zadowoleni! — rzekł z tryumfem — byłem pewny, że wygram i — wygrałem!

— Do stu dyabłów, doktorze! Pan masz zawsze głowę na karku — szepnął Franciszek, spoglądając z szacunkiem na swego towarzysza — ale dlaczego mi pan nie wspominałeś nic o tym liście?...

— Miałem powody! Ty nie jesteś stworzony na dyplomatę, byłbyś się odrazu wygadał i zepsuł mi całą grę, nie pozwalając zagrać atuta w odpowiednim czasie!

— Hm! to niepochlebne dla mnie! — zamruczał Springer — ale co było w tym liście i jakim sposobem przyszedłeś do niego?

— Jak najprostszym! Wczoraj otrzymałem go od naszego poczciwego Bergmanna, który, jak to dobrze przewidywałem, akurat przehulał wszystko, gdy otrzymał odemnie zapomogę, wskazówki i wezwanie, żeby mi list przysłał jak najprędzej. Było to przed czternastu dniami i Bergman istotnie wyekspedyował list pierwszym parowcem!

— W takich sprawach można na nim polegać! A zapewne napisałeś mu pan, co list ten powinien zawierać?!

— Naturalnie! Nawet tego Jamesa Piersona ja sam wynalazłem! A co tam powypisywał na tle zebranych przez siebie informacyi, było też znakomite!...

— Doprawdy?!... a ta osobista wiadomość, która tak przestraszyła Helenę?

Doktor uśmiechnął się figlarnie i z tryumfującą miną spojrzał na pytającego.

— To była taka krótka notatka, że inżynier Fred Archer zaręczył się niedawno z młodą, bardzo ładną i bardzo bogatą wdówką!...

— Znakomicie! Znakomicie! Na taki wspaniały pomysł nie wpadłbym nigdy w życiu! Ale w tym liście niema nic, coby mogło w niej wzbudzić podejrzenie?!

— A czyż ty myślisz, że gdyby było inaczej, to choć na chwilę zostawiłbym ten list w jej rękach?! Tak naiwny nie jestem jeszcze!...

— A jeśli ona skąd inąd dowie się prawdy, jeśli mimo całej naszej czujności potrafi nawiązać stosunki z Ameryką i dowie się, że to wszystko od A do Zet jest kłamstwem?!

— To my będziemy już ze wszystkiem gotowi, już klamka dawno zapadnie, a potem... potem, mój kochany, skąd my możemy odpowiadać za to, że całkiem obcy człowiek powypisywał kłamstwa?!

Podczas gdy obaj łotrzy zabawiali się tą rozmową i układali horoskopy na przyszłość, Helena siedziała w swoim pokoiku i ze łzami w oczach odczytywała po raz setny koniec listu Jamesa Piersona:

(Ciąg dalszy nastąpi).

Następca Pobiedonoscewa.

Na stanowisko oberprokuratora św. Synodu powołał car po ustąpieniu Pobiedonoscewa, który je zajmował przez szereg lat, księcia Aleksandra Obolenskiego. Stanowisko to jest w Rosyi jednem z najważszych i najbardziej wpływowych. Dość powiedzieć, że oberprokurator św. Synodu, stojący faktycznie na czele kościoła prawosławnego, na straży prawosławia, ma wśród zabobonnego ludu rosyjskiego mir niesłychany, jest pierwszą po carze figurą w państwie, na którego sprawy z mocy swego urzędu wywiera znaczny wpływ. Wpływu tego umiał doskonale używać najzacieklejszy wróg postępu, niezwyciężony jak się zdawało, Pobiedonoscew, który jednak po ogłoszeniu konstytucyi uczuł nareszcie, że „Zgniły Zachód“, jak nazywał zachodnią Europę, zwyciężył, że wpływy jego przedostały się do Rosyi, że więc stracił zupełnie, jako najwytrwalszy obrońca caratu, grunt pod nogami. Zmiotła go rewolucya z widowni dziejów Rosyi, w których się jako krwawy zapisał satrapa, jako zacięty wróg postępu i ludzkości. Znienawidzony przez całą Rosyę usunął się wreszcie w zacisze domowe, widząc, że rola jego jest już skończona, że ideały jego, uważane przezeń za święte, rozwiały się jak bańka mydlana od wiatru rewolucyi.

Następca Pobiedonoscewa, książę Oboleński, dotychczas nie dał się jeszcze lepiej poznać narodowi. Obejmuje on stanowisko oberprokuratora św. Synodu prawie jako „*homo novus*“, nie możemy więc nic powiedzieć, jakim się okaże człowiekiem na tak odpowiedzialnym i tak ważnym urzędzie.

Książę Aleksander Oboleński urodził się w roku 1847. Uniwersytet moskiewski ukończył w roku 1869, poczem wstąpił do pierwszego departamentu senatu, jako kandydat do posad sądowych. W roku 1874 został starszym sekretarzem w ministerstwie sprawiedliwości, a w cztery lata później urzędnikiem do szczególnych poruczeń przy temże ministeryum. Od roku 1881 do 1884 był Oboleński marszałkiem szlachty w gubernii penzeńskiej i wówczas otrzymał tytuł podkomorzego. Ponieważ zaś zajmował się żywo sprawami ekonomicznemi i socyalnemi, powołano go w roku 1884 do ministerstwa spraw wewnętrznych. W sześć lat później powrócił znowu do ministerstwa sprawiedliwości, a w roku 1892 otrzymał nominacyę na oberprokuratora drugiego departamentu senatu. W roku 1897 był Oboleński pomocnikiem warszawskiego generał-gubernatora do spraw cywilnych, jednak na tem stanowisku nie pozostał długo. Powrócił do Petersburga i został mianowany senatorem i członkiem rady państwa. Uchodzi za znawcę spraw agrarnych i włościańskich i jest doskonale obznajomiony ze wszystkiemi gałęziami administracyi.

Tyle wiemy o nim dzisiaj. Najbliższa przyszłość okaże, czy na stanowisku oberprokuratora św. Synodu będzie rządził jako człowiek kulturalny, czy też okaże się, co nie przypuszczamy, kreaturą Pobiedonoscewa.

W uzupełnieniu artykułu zamieszczamy obok portret księcia Oboleńskiego.

Z półek księgarskich.

„O świcie“. Napisała Nina Niovila Petrykiewicz. Lwów. Nakładem autorki.

Ukazuje się co roku mnóstwo książek, które nie mają najmniejszej wartości ani literackiej, ani społecznej. Ot, zadrukowana bibuła. Pod tym względem korzystniej przedstawia się książeczka, której autorką, jest, jak sądzę, młoda, nawet bardzo zdolna panienka, p. Niovila Petrykiewicz. Sztuka „O świcie“ przenosi nas w dawne, mroczne dzieje starej słowiańszczyzny, na dwór okrutnego Popiela i jego żony Brunhildy, do świątyń Łady i odwiecznych borów. Autorka starała się przedstawić przedewszystkiem okrucieństwa Brunhildy, usunęła więc pierwiastek erotyczny na plan drugi. Ale niestety to jej się nie udało. Żadna z postaci w jej dramacie nie żyje właściwie życiem własnem, ale słowami panny Petrykiewicz. Postacie te nie mają mocy, nie mają siły. A to są przecie olbrzymy, taki Popiel lub Piast. W dramacie „O świcie“ Piast i Popiel wyglądają jak figurki w szopce. Chcąc pisać o olbrzymach, trzeba mieć moc i wielkość w duszy.

Ale przynajmniej i to dobre, że p. Petrykiewicz nie opisuje własnych bólów i cierpień, a przez to wyróżnia się korzystnie od całej plejady swych kolegów i koleżanek po fachu.

„Kalendarz Kółek rolniczych“. Lwów. Nakładem zarządu głównego Tow. „Kółek rolniczych“.

Z powodzi wydawnictw kalendarzowych, jakie się już pojawiły w handlu księgarskim na r. 1906 bardzo dodatnio wyróżnia się kalendarz „Kółek rolniczych“, wydany przez Tow. Kółek rolniczych we Lwowie. Kalendarz ten zredagowany jest nadzwyczaj umiejętnie, zawiera mnóstwo dla włościan interesujących artykułów oraz rad i wskazówek dla kółek rolniczych. Kalendarz zdobi kilkanaście bardzo ładnie na kartonie wykonanych obrazków, oraz szereg ilustracyi do artykułów. Niska cena, bo zaledwie 80 halerzy za egzemplarz, powinna się przyczynić do rozpowszechnienia tego, dla włościan prawie niezbędnego wydawnictwa, które wielokrotnie przewyższa kalendarze, jakiemi np. Steinbrener zasypuje Galicyę.

„Księga obyczajów towarzyskich“. Napisał M. Rościszewski. Biblioteka powszechna, Nr. 535-540. Nakładem księgarni W. Zukerkandla w Złoczowie.

„Ponad siły“, sztuka w 2 aktach Björnstjerne-Björnsona; przetłómaczył W. Prokesch. Biblioteka powsz. Nr. 525. Nakładem W. Zukerkandla w Złoczowie.

„Związek młodzieży“, sztuka w 5 aktach H. Ibsena; przetłómaczył W. Prokesch. Biblioteka powszechna Nr. 526-527. Nakładem W. Zukerkandla w Złoczowie.

„Szkice historyczne“ Karola Szajnochy. Część III. Mściciel. — Biblioteka powszechna Nr. 528-530. Nakładem W. Zukerkandla w Złoczowie.

„Charakterystyki literackie“: Józef Ignacy Kraszewski, przez M. Mazanowskiego. Biblioteka powszechna Nr. 531-533. Nakładem W. Zukerkandla w Złoczowie.

„Fircyk w zalotach“, komedya w 3 aktach Fr. Zabłockiego. Biblioteka powszechna. Nr. 534. Nakładem W. Zukerkandla w Złoczowie.

Rozwiązania z Nru 46.

Szarada.

Maszyna parowa.

Zadanie.

		O	s	K	a	r		
	p	a	r	o	w	ó	z	
P	o	l	o	n	a	i	s	e
B	o	g	u	s	ł	a	w	a
	Z	ł	o	t	n	i	k	
	B	u	ł	y	g	i	n	
Ś	w	i	a	t	o	w	i	d
	Z	a	p	u	s	t	y	
		L	u	c	c	a		
				y				
		K	l	a	p	s		
	K	a	r	w	o	w	o	
Ś	w	i	e	R	s	z	c	z
G	o	n	d	o	l	i	e	r
	P	a	s	s	y	w	a	
		O	l	y	m	p		
			W	i	r			

Konstytucya w Rosyi.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: Stanisław Szwabowicz Żurawno, St. Bassara Niwiska, B. Ramułtowa Jeżów, A. Skulski Lwów, Stadnik Grabiny, Aleksander Bocsoń Bóbrka, Kuszpeciński Kraków, Remiszewski Załowie, Marya Opolska Cz. Dunajec, J. Talaga Stale, Jan Badura Rożdzień, Karol Fuchs Peczeniżyn, Paweł Wierzba Trzyniec, H. Dydacka Żurawno, Mieczysław Rożański Gorlice, Jadwiga Tabor Lwów, Józef Wróbel Łękawica, Marya Aresbauer Lwów, Helena Ulrych Malin, Tadeusz Domain Sanok, Marya Serafin Świątniki Górne, K. Chodkiewicz Zbydniów, Józefowie Nowiccy Sokal, Helena Mokrzycka, Turbia, E. Bogdalska Koropuż, Stanisław Łaszkiewicz Słotwina, A. Zimer Mikulińce.

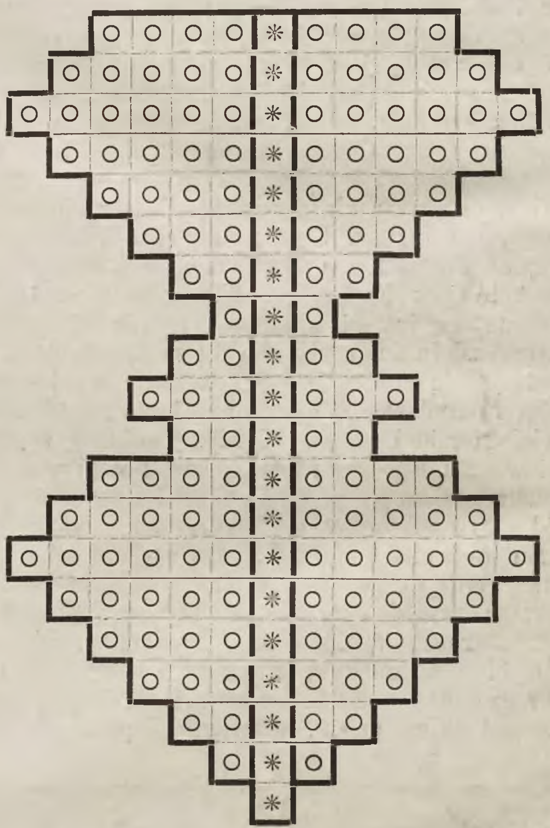
Nagrodę przez losowanie otrzymał p. Kuszpeciński w Krakowie.

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Pierwszy przyimek — przyimek *drugi*
Ma gramatyka na swe usługi,
Drugie i trzecie bywa z pieszczoty
Lub przy rozstaniu na znak tęsknoty,
Trzecie i czwarte miasteczko małe,
Które zawdzięcza jedynie chwałę
Temu, że zamku ruiny mieści,
O czem lud prawi przeróżne wieści.
Całość to miejsce, gdzie weterany
Mają byt znośny, gdzie człek sterany
Trudami życia, albo chorobą
Ma i opiekę i dach nad sobą!

Zadanie.



Znaczenie wyrazów:

1. Jenerał rosyjski, smutnie zapisany podczas powstania polskiego w r. 1793. 2. Jeden z gubernatorów Królestwa polskiego. 3. Znany polski publicysta i podróżnik. 4. Sławny kompozytor włoski. 5. Nazwa morza. 6. Współubieganie się o nagrodę. 7. Owoc. 8. Przeciąg czasu od zachodu do wschodu słońca. 9. Przedstawienie sceniczne sztuki tancerskiej. 10. Poprawianie błędów drukarskich. 11. Święty męczennik, obchodzony przez kościół 22-go kwietnia. 12. Przyrząd do mierzenia temperatury. 13. Mieszkanki jednego z miast Galicyi, słynące z zuchowatości. 14. Objaw, powstający wskutek zetknięcia się dwóch ciał. 15. Miasto w Szwajcaryi. 16. Sławny dramaturg niemiecki. 17. Imię męskie zdrobniałe. 18. Pierwiastek chemiczny. 19. Narodowość. 20. Samogłoska.

Litery, przypadające w miejsce gwiazdek, czytane z góry na dół, dadzą określenie obecnej chwili.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych przeznaczamy jako nagrodę:

„Wspaniały tort“ z cukierni warszawskiej Piątkowskiego i Kissa w Krakowie.

Kącik humorystyczny.

Tę znają.

Mąż: Śniło mi się dzisiejszej nocy, że umarłem...
Żona: A jakże długo w czyśćcu byłeś?
Mąż: Ani chwilki! Święty Piotr, skoro mnie tylko zobaczył, zaraz krzyknął: Ty biedaku, pójdziesz prosto do nieba — już ja znam twoją żonę, tę jędzę!...

Przy raporcie.

Jednoroczny Kohn: Panie kapitanie, melduję posłusznie, że proszę o urlop na jutro!
Kapitan: A to na co znowu?
Kohn: I m a t r y k u l a c y a jutro.
Kapitan: E, do krocset! Zawsze te przeklęte ż y d o w s k i e ś w i ę t a!...

W XX. wieku.

— Jeżeli pan rzeczywiście mnie kochasz, to dlaczego nie prosisz o moją rękę?
— Bo nie wiem... czy pani może wyżywić męża?...

Ze scen małżeńskich.

On: Ależ, uspokój się raz, do licha! Przecież masz rozum!
Ona (wrzeszcząc dalej): Nie!..

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Stanisław Lipiński.
Klisze z zakładu T. Jabłońskiego i Ski w Krakowie.
Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.